Osiem stron | Str. 2: F. MORLION, O.P.: FILOZOFIA TOMISTYCZNA RUSZA DO KINA | Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok IV. | Londyn, niedziela 30 kwietnia 1950 | Nr. 18 (149)

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

DWUDZIESTA PIĄTA GODZINA

WSPOMNIAŁEM przed paru tygodniami na łamach ŻYCIA o książce pod powyższym tytułem, napisanej przez młodego Rumuna, ale wydanej po raz pierwszy w języku francuskim.1) Wracam dziś do niej nieco dłużej, a to dlatego, że nie słychać dotąd o angielskim przekładzie tej powieści, a bodaj i nie prędko słychać będzie. Są pewne powody, dla których wydawcy angielscy, tak niezmiernie sprawni w przemilczaniu rzeczy niewygodnych, nie będą się chyba śpieszyć z tym przekładem. Książka Virgila Gheorghiu jest mocno anty-amerykańska. Sądzić wolno, że Brytyjczycy, mający już tyle kłopotów z Amerykanami, nie zechcą szukać guza nawet urojonego. Lepiej na zimne dmuchać.

Martwić się tym będzie najwięcej autor przedmowy do powieści Virgila Gheorghiu, filozof egzystencjalista ale katolik, Gabriel Marcel. Rad jest on bardzo, że autor, nie mogąc wydać swej pracy po rumuńsku, wybrał dla pierwodruku język francuski. Nie wątpi, że wiele innych tłumaczeń nastąpi — ale ma swoje wątpliwości, skoro dodaje: „autrement ce serait à désespérer“ „przeciwnym razie, trzeba by o wszystkim zwątpić“. Bodaj — na przekład angielski poczekamy jeszcze. Niechże Czytelnicy ŻYCIA czekają mniej długo z zapoznaniem się choćby ogólnym z „Dwudziestą piątą godziną“.*)

Jest to równoległa historia dwu Rumunów, jednego chłopa i drugiego inteligenta i pisarza, którzy przez całą wojnę pędzeni są z obozu w obóz.

„W roku 1938, powiada pierwszy z nich, znalazłem się w obozie żydowskim w Rumunii (mimo że nie był wcale Żydem!). W roku 1940 w obozie rumuńskim na Węgrzech. W r. 1945 w obozie amerykańskim“. Dodajmy i to, że uciekają na wszelki sposób, ciągle na zachód, byle tylko uniknąć najgorszego, spotkania z bolszewikami! „Nawet nie namyślali się dokąd pójdą. Po prostu uciekali przed Rosjanami. Uciekali przed barbarzyństwem, terrorem, śmiercią i torturami. Na oślep kierowali się w stronę, gdzie nie będzie Rosjan. Z zamkniętymi oczyma byliby tam biegli“.

Doświadczenia te są gorzkie. Ale po Niemcach i Rosjanach, po nazistach i bolszewikach wiadomo czego spodziewać się można. Najgorsze z wszystkiego to, że, dopadłszy wreszcie — z jakąż radością! — strefy amerykańskiej, więc przecież przyjaznej, ci Rumuni spragnieni wolności — wpadają na nowo w więzienia i obozy.

Dlaczego? — Dla tego dobrego i prostego powodu, że, będąc Rumunami, nie mogą być traktowani jako sprzymierzeńcy, a tylko jako wrogowie, a przynajmniej jako podejrzani, którzy opowiedzieli się po stronie Hitlera! Jest tu przecież pewna racja polityczna i prawna, która się na tych Rumunach mści przeraźliwie, boć przecież sercem i przekonaniem byli zupełnie gdzie indziej. My Polacy, jako sprzymierzeńcy hen od przedwstępnej godziny wojny, tego jednegośmy nie doznali. Z taką rzeczywistością „europejską“ nie zetknęliśmy się. Powieść Virgila Gheorghiu otwiera nam oczy na taką nieznaną nam a tragiczną prawdę.

Pisana jest ta powieść w pasji z nagromadzeniem wielkiego osadu goryczy. Zyskuje na tym jej wymowa serdecznej satyry. Jest równocześnie napewno niesprawiedliwa w tym, że nie bardzo plastycznie przeprowadza linię podziału między obozami niemieckimi, a właśnie amerykańskimi. Tłumaczy się to tym prostym faktem, że pisana jest cum ira et studio. Wszakże w szerokiej mierze sam autor przebył tę gehennę.

Nie będziemy się tu zajmować wartością literacką powieści. Jest ona nacechowana na pewno mocnym talentem pisarskim, ale jest niedoskonała, przerysowana i miejscami naiwna. Równocześnie, i pewno dlatego, porywa swoją szczerością i wręcz wstrząsa prawdą przeżycia.

Nie poświęcimy tu też wiele miejsca epickiemu wątkowi czy raczej opisowi w tej książce. Cokolwiek byśmy tu mogli podać z tego obrazu, byłoby to i znane z tej przeraźliwej rzeczywistości, która aż nazbyt nam jest bliska, i równocześnie pozbawione tego lirycznego akcentu własnego przeżycia, które tak porusza pod piórem Gheorghiu.

Doniosłość „Dwudziestej piątej godziny“ leży gdzie indziej. Oto autor potrafił dźwignąć swą powieść do poziomu diagnozy dzisiejszego świata, już nie tylko dzisiejszej Europy. To właśnie, że rolę swą odgrywa w tym obrazie Ameryka, to właśnie pozwala na przekroczenie ram ściśle europejskich, i na postawienie diagnozy wręcz na skalę światową. Diagnoza ta jest potworna: jest o jedną godzinę zapóźno, jest godzina dwudziesta piąta. Świata tego, a zwłaszcza nieszczęsnej naszej Europy, nikt już wybawić nie może: „nawet przyjście Mesjasza nic by nie zmieniło...“

Co doprowadziło naszego autora do tak skrajnego zwątpienia?

Trzeba wciąż mieć w pamięci, że jak długo jego bohater, pisarz Trajan Koruga miał do czynienia z systemem nazistowskim czy bolszewickim — nie rozpaczał, bo był pełen nadziei. Zwątpił dopiero, gdy zetknął się z amerykanizmem. Nazizm i bolszewizm przetrwał bez załamania, dopiero amerykanizm — ultimum refugium — doprowadził go do załamania. Jak to zrozumieć? Cóż on takiego w amerykanizmie zobaczył?

Diagnoza jego sięga tu bardzo daleko. Znajduje się on poza przesądami rasy, polityki czy nawet narodowości. Dotyczy świata, jako takiego, w dzisiejszej jego postaci cywilizacyjnej. Dotyczy naszego wieku XX, któremu przoduje Ameryka. Otóż świat ten stał się nie do oddychania dla człowieka, dla Europejczyka godnego tego imienia. Co się stało?

Świat ten stał się widownią zwycięstwa maszyny. Przedwojenne fantazje o „robotach“ okazały się prorocze, wcale nie dlatego, aby „roboty“ nabrały nagłej potęgi, ale dlatego, że ludzie, radzi z tych nowoczesnych niewolników — robotów, stracili swoją moc, bo wyzbyli się wszelkiej odpowiedzialności. Sięgamy tu do zasadniczego wiązadła myśli Virgila Gheorghiu; idzie mu o niespodzianą projekcję sprawności maszyny - robota — na pole działalności społecznej. Skąd, jaką drogą zdołał robot przekroczyć granice fabryki i warsztatu, by wtargnąć w zakres życia istotnie człowieczego, w zakres działalności społeczeństw i narodów?

Oto człowiek tak zapatrzył się w niezrównaną, niedoścignioną doskonałość i precyzyjność maszyny, że ją począł n a ś l a d o w a ć, zastępując indywidualne komplikacje schematyczną symplifikacją, nie widząc już osób ludzkich tylko ich paszporty lub kenkarty, nie interesując się już jakością niepowtarzalną duszy, tylko właśnie powtarzalną kategorią, przegródką czy szufladką, mieszczącą jej sygnalizację czy też wręcz jej numer porządkowy. Taki a taki numer DP-isa, w dodatku Rumuna, więc wroga, jest jedyną rzeczą, która sprawnego i precyzyjnego Amerykanina obchodzi. „Ludzie, którzy mnie zamknęli do obozu, rozumuje Trajan Koruga, wcale mnie nie nienawidzą, nie chcą mnie ukarać, tym mniej mnie zniszczyć. Oni chcą tylko zbawić świat. A przecież dręczą mnie i męczą... Oto ci, co rządzą światem powzięli myśl, by wybudować gigantyczne szpitale dla wyleczenia różnych plag dręczących ludzkość. Ani się spostrzegli, kiedy wybudowali zamiast szpitali — więzienia. Tak się wszystko dzieje, jakby ktoś na nich rzucił urok i zaczarował ich“.

Chcą dobra a płodzą zło. Dlaczego?

Diagnoza Gheorghiu sięga daleko wstecz, jeszcze poza wojnę. Wojna tylko przyśpieszyła wypadki.

U podstawy złego było wadliwe pojęcie jednostki społecznej, jako „fiszki“ i papierka w przegródce urzędu. Robot? Sam przez się nigdy by się nie był wyzwolił. Pomógł mu niespodziewany sprzymierzeniec: o b y w a t e l, c i t o y e n...

„Bez współwiny (complicité) człowieka, niewolnicy techniczni nie mogą zaatakować ludzi. Ale z pomocą o b y w a t e l a — który nie jest istotą ludzką — niewolnicy techniczni, roboci, stają się bestiami Apokalipsy.

— Co rozumiesz przez obywatela? Wszyscy wszakże jesteśmy obywatelami.

— Obywatel jest istotą ludzką, która żyje tylko jednym, wyłącznym wymiarem swego życia, wymiarem społecznym. Jak maszyna zna tylko jeden ruch i w nieskończoność go powtarza. „Obywatele“ nie żyją w lesie ni w dżungli, tylko po biurach... Ich oblicze podobne jest do ludzkiego

1) C. Virgil Gheorghiu: „La vingt-cinquième heure“, w serii „Feux Croisés, Ames et terres etrangères“, u Plon'a. Seria ta poświęcona jest przekładom z obcych literatur i znajduje się pod kierownictwem znanego filozofa katolickiego, Gabriela Marcel.

*) O książce Gheorghiu była mowa w ŻYCIU już parę miesięcy temu w „Notatkach francuskich“ — v. N. 50/129 dop. Red.).

KOŚCIÓŁ ANGLIKAŃSKI

W parafiach anglikańskich w Anglii chrzczona jest rok rocznie nieco więcej, niż połowa wszystkich rodzących się w Anglii dzieci. Można by więc sądzić, że nieco więcej niż połowa Anglików — to są anglikanie. Tak jednak nie jest. Po dojściu do wieku dojrzałego, ochrzczeni w wierze anglikańskiej Anglicy od Kościoła i religii odpadają. Wydawnictwo statystyczne „A Christian Year Book“ za rok 1950 wykazuje, że jest w Anglii 6.675.878 osób w wieku powyżej 14 lat, które należą do jakiegoś chrześcijańskiego kościoła (a więc katolickiego, anglikańskiego i wszystkich sekt protestanckich razem). Ponieważ ogółem jest w Anglii 32.265.820 osób w wieku powyżej 14 lat, więc to znaczy, nawet po odliczeniu Żydów, że przytłaczająca większość ludności Anglii, mimo, że w znacznej części ochrzczona, wogóle do żadnego kościoła nie należy.

Ile wśród tych z górą 6 i pół miliona angielskich chrześcijan jest anglikanów? T. zw. „wyborców“ jest w kościele anglikańskim (dane z r. 1947) — 2.989.704. Co to są „wyborcy“? — Są to ludzie uprawnieni do udziału w głosowaniu do zgromadzeń kościelnych. A więc „są to wszyscy, którzy są ochrzczeni, oraz którzy złożą oświadczenie, że uważają się za członków Kościoła anglikańskiego, że nie należą do żadnego zrzeszenia religijnego, przez Kościół anglikański nie uznanego“. Oczywiście, jak widać z powyższego „wyborcami“ mogą być także i zupełni indyferenci, o ile tylko z jakichkolwiek względów — choćby gospodarczych, politycznych, tradycyjnie - towarzyskich itd. — chcą mieć wpływ na instytucje kościelne i brać udział w głosowaniu.

A ilu jest ludzi rzeczywiście praktykujących? Jeśli za praktykującego anglikanina przyjąć tego, co był u wielkanocnej „komunii“ to jest ich wedle ostatnich danych — 1.859.115. Tak więc, więcej niż połowa Anglików ochrzczona jest w Kościele anglikańskim. Co jedenasty dorosły Anglik ma w tym Kościele prawo głosowania. Co siedemnasty dorosły Anglik jest — w bardzo zresztą skromnym zakresie — anglikaninem praktykującym. Tak więc Kościół anglikański przedstawia sobą obraz głębokiego, wewnętrznego upadku i rozpadu. Przyjmuje się w Anglii, że 79 proc. ludności, a więc więcej niż trzy czwarte, to są ludzie kompletnie niewierzący. Jest między nimi wielu nieochrzczonych, a więc pogan całkowitych.

Kościół anglikański jest zupełnie zależny od państwa. Zależność ta ma niektóre formy wręcz absurdalne. Biskupów tego Kościoła mianuje prezes rady ministrów — który nieraz bywa nie- anglikaninem, lecz wyznawcą jakiegoś innego kościoła. Obrzędy i wewnętrzne przepisy tego Kościoła mogą być zmienione, lub uzupełnione tylko drogą uchwały parlamentu, w którym zasiada wszak wielu protestantów nie - anglikańskich, katolików, Żydów i bezwyznaniowców. Kwestie sporne, dotyczące doktryny tego Kościoła, rozstrzygane są przez Państwowy Sąd Najwyższy, t.zw. Privy Council, w którego skład także nieraz wchodzą nie - anglikanie. Właśnie w tych dniach ukazała się książka dra Garbett'a, anglikańskiego arcybiskupa Yorku, w której autor występuje z żądaniem szeregu reform w życiu swego Kościoła. Proponowane przez niego, rewolucyjne reformy, zmierzają m. in. do tego, by Kościół anglikański miał prawo... sam mianować swoich biskupów, a przynajmniej mieć na ich nominację wpływ; by mógł sam, bez pytania się parlamentu, reformować swoje obrzędy; by mógł stworzyć sobie własny trybunał kościelny do rozstrzygania sporów i wątpliwości doktrynalnych; oraz by mógł zreformować swoje prawo kanoniczne.

Wielką słabością Kościoła anglikańskiego jest kurczenie się liczby jego duchowieństwa. Jest dziś w Anglii około 15 tysięcy duchownych anglikańskich (w 43 diecezjach z około setką biskupów). Temu 35 lat było ich 25.000. Młodzi Anglicy niechętnie garną się do stanu duchownego.

Charakterystyczną cechą Kościoła anglikańskiego jest mglistość jego doktryny. Nie tylko wśród wiernych, ale nawet wśród duchowieństwa i biskupów istnieje gama odcieni w poglądach, od odcienia tzw. „anglo-katolickiego“ poprzez szereg ogniw pośrednich aż do czystego, skrajnego protestantyzmu. Anglo-katolicy uważają, że są tylko schizmatykami, takimi jak prawosławni i chcą, by Kościół katolicki przyjął ich z całą ich organizacją do swego łona, tak, jak przyjął grecko -katolickich unitów (co jak wiadomo nie jest możliwe gdyż ich święcenia kapłańskie i biskupie, oraz ich sakramenty są — w przeciwieństwie do prawosławnych — nieważne). Przyjmują oni wszystkie dogmaty katolickie, odprawiają „mszę“, odbywają „spowiedź“, stosują wszystkie formy katolickiej pobożności. Natomiast skrzydło protestanckie anglikanów wszystko to odrzuca i potępia. Większość anglikanów mieści się pomiędzy tymi dwoma skrzydłami — po środku. Wymieniony wyżej anglikański arcybiskup dr Garbett świeżo b. ściśle sformułował stanowisko tych anglikanów „przeciętnych“: „Czy się to rzymskim katolikom podoba, czy nie i my i oni jesteśmy członkami tego samego katolickiego Kościoła, posiadamy to samo Pismo, to samo Credo, te same sakramenty, to samo kapłaństwo apostolskie. Różnimy się od Rzymu głównie przez to, że narówni ze starymi Kościołami wschodnimi odrzucamy papieskie pretensje; że domagamy się dowodów zaczerpniętych z Ewangelii na potwierdzenie każdej prawdy, potrzebnej do zbawienia (protestancka zasada odrzucenia tradycji i uprawnień nauczających Kościoła kat. — przyp. nasz); oraz że cenimy wolność duchową“. (Znowu protestancka zasada indywidualizmu i „swobodnej“ oceny jednostki).

Jednostki głębiej myślące, dochodzą wśród anglikanów coraz częściej do wniosku, że logiczną konsekwencją ich własnych wierzeń jest nawrócenie na łono Kościoła katolickiego. Prąd nawróceń jest wśród duchowej elity anglikańskiej, — zwłaszcza wśród najszczerszej religijnego odłamu duchowieństwa, — zjawiskiem nieustannym i niemal masowym. Bardzo wielu wybitnych konwertytów dostarcza odłam „anglo - katolicki“; jednym z nich był słynny, późniejszy kardynał Newman. Czasami jednak „anglo - katolicy“ okazują się oporniejsi na nawrócenie od anglikanów „przeciętnych“: uważają oni, że już są katolikami, że nawracać się nie potrzebują, i że raczej „Rzym“ powinien ich katolickość uznać, podczas gdy anglikanie „przeciętni“ lepiej rozumieją, że anglikanizm, a katolicyzm to jednak nie to samo, i że uznawszy prawdziwość wiary katolickiej, trzeba dokonać aktu zmiany wyznania.

Jest w anglikanizmie i wśród duchowieństwa, i wśród wiernych, sporo rzetelnej wiary i pierwiastków chrześcijańskich — są one jednak w tym Kościele w zupełnej mniejszości. Ogólnie biorąc, trzeba ten Kościół uznać za Kościół obumarły, skostniały w formach zewnętrznych i w bezdusznej organizacji, przesycony obłudą i silnie podmyty wpływami bezreligijnymi. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że większość biskupów anglikańskich należy do masonerii, organizacji jawnie niechrześcijańskiej.

Jest rzeczą ciekawą, że Kościół anglikański nie jest zjawiskiem wyłącznie angielskim. Jest on dosyć silny w Stanach Zjednoczon. gdzie nosi nazwę kościoła episkopalnego (biskupiego) i ma stanowisko bardzo wpływowe, zwłaszcza w Waszyngtonie i stanach południowych; wielu prezydentów amerykańskich — m. in. Roosevelt — należało do tego wyznania. Istnieje on we wszystkich brytyjskich dominiach i koloniach. Istnieje, jako mniejszość, w Irlandii, gdzie nosi nazwę „Kościoła irlandzkiego“ (Church of Ireland). Zdołał wreszcie pozyskać sobie, drogą akcji misyjnej, tu i ówdzie pewne wpływy, zresztą od katolickich nieskończenie słabsze, w niektórych środowiskach murzyńskich w angielskich koloniach w Afryce, w niektórych punktach Indyj, a nawet — rzecz ciekawa — we francuskim Madagaskarze. Swoje osiągnięcia misyjne Kościół ten zawdzięcza zresztą głównie poparciu angielskiej polityki rządowej.

oblicza, i niekiedy popełnia się tę pomyłkę, że się ich z ludźmi miesza; bardzo szybko okazuje się jednak że zachowują się oni nie jak ludzie, ale jak maszyny. Zamiast serca mają chronometry..."

Czymś się jednak taki „obywatel" różni od maszyny. — „Oto, inaczej niż maszyny, ma on pretensję do dźwignięcia się do symbolu: chce stać się przykładem dla całego świata. Obywatel jest to najgroźniejsze zwierzę, jakie ukazało się na powierzchni globu, od czasu skrzyżowania się człowieka z robotem. Rosjanie wydali najdoskonalszy typ tego gatunku: komisarza. Ma on okrucieństwo człowieka i zwierzęcia, a w dodatku także obojętność maszyny".

Niestety — Amerykanie nie okazali się niepojętnymi w tej mierze.

„Amerykanie nie chcą niczyjej krzywdy, powiada pisarz Trajan Koruga do żony — oni nawet nie uświadomili sobie wogóle naszego istnienia.

— Ileż czasu potrzeba im będzie, by zdać sobie sprawę, że nas trzymają w więzieniu?

— Nigdy tego nie zrozumieją. Cywilizacja zachodnia w swej ostatniej fazie postępu nie precyzuje już osoby ludzkiej. I nie wolno się nam spodziewać, by się tego nauczyła. Społeczeństwo to zna już tylko niektóre wymiary jednostki. Człowiek integralny, wzięty jako osobowość, już dlań nie istnieje. Chociaż przez nich więzieni, my dla nich po prostu nie istniejemy. Istniejemy wyłącznie jako małe ułamki pewnej kategorii. Ty, na przykład, jesteś tylko obywatelką nieprzyjacielskiego kiedyś państwa, aresztowaną na terytorium Niemiec. Jest to maximum tego, co Zachodnie Społeczeństwo Techniczne może sobie przyswoić. Traktują ciebie wedle reguł mnożenia, dzielenia i odejmowania."

Ale nie należy, broń Boże, sądzić, by istniał zamiar mordowania kogokolwiek: na to, by kogoś mordować, trzeba tego kogoś postrzegać. „Otóż społeczeństwo zachodnie nie jest w stanie spostrzec obecności żywego człowieka. Jeśli takie społeczeństwo kogoś uwięzi czy zabije, nie zabija ono czegoś żywego, a tylko samo pojęcie i kategorię. Logicznie rozumując, nie można tu uczynić zarzutu zabójstwa, bo maszyny nie można oskarżać o zbrodnię".

Takim jest akt oskarżenia Zachodu przez przedstawiciela antybolszewickiej Wschodniej Europy...

Na poparcie tych tez przeznaczona jest cała opisowa część książki. Jest zwłaszcza jeden nowy pomysł, którego ciekawie używa Gheorghiu. Są to t.zw. „petycje". Trajan Koruga nie mogąc sobie dać rady żadną rozmową czy perswazją, wpada na myśl, by Amerykanów zasypywać podaniami czy raczej petycjami na piśmie, żądającymi ulepszeń w życiu obozowym. By lepiej do nich trafić, będą te petycje ujmować sprawy z punktu widzenia amerykańskiego.

Przytaczamy tytułem przykładu „Petycję nr. 3 — Przedmiot: ekonomiczne zagadnienie":

„Oto o co rzecz idzie. Spośród 15.000 więźniów wraz ze mną zamkniętych, conajmniej 3.000 nie posiada już w całości swego ciała. Dwustu nie ma nóg. Około tysiąca ma tylko jedną nogę. Inni mają jedną rękę. Wielu z nich straciło któryś z organów wewnętrznych: płuco, nerkę, kawałki kości. Są i tacy, co wogóle oczu nie posiadają.

„Skonstatowałem wielką niesprawiedliwość. Te ułomki ludzkie otrzymują tę samą ilość żywności (kalorii), co więźniowie zdrowi.

„Proponuję, by otrzymywali żywność proporcjonalnie do ilości ciała, którą jeszcze zachowali. Rząd amerykański czyni wielkie ofiary, by zapewnić żywność jeńcom. Dlaczegóż wydawać pieniądze na żywienie organów, których już nie ma? Taka hojność jest nie na miejscu. Zgodnie z moją propozycją można by oszczędzić tysiąc racji żywnościowych dziennie, odliczywszy bowiem wszystkie brakujące organy, dojdziemy łatwo do wniosku, że więźniów jest tylko dwa tysiące a nie trzy..."

Po otrzymaniu szeregu takich meldunków, Trajana Korugę zamknięto dla odmiany do zakładu dla obłąkanych, skąd wyszedł już tylko na to, by popełnić samobójstwo.

Było to samobójstwo proste, ale potrzeba było na to wielkiej determinacji. Obóz, jak to obóz, otoczony był wieżami strażniczymi. Wewnątrz obozu więźniowie mogli poruszać się swobodnie. Ale poza pewną linię nie wolno im było chodzić. Strażnicy mieli broń w pogotowiu. Trajan Koruga wiedział co mu grozi.

Padł z ręki Polaka. „Le Polonais..."

Rozumiemy o co chodzi, o polskie kompanie wartownicze. Bo Polacy są sprzymierzeńcami Amerykanów i wykonują ich rozkazy. Gheorghiu nie analizuje tego faktu. Wie tylko, że Polaków należy się wystrzegać...

Straszliwą jest ta wschodnia diagnoza cywilizacji zachodniej. Jest to diagnoza jaskrawa, przesadna i niesprawiedliwa — częściowo. Ale ma swoje jądro prawdy. Dobrze wiedzieć, że tak jest osądzany Zachód przez niekomunistyczny Wschód: „Ta wojna jest właściwie tylko wewnętrzną rewolucją w łonie zachodniej cywilizacji. To wogóle nie jest wojna.

Ale przecie walczymy ze Wschodem! Z Rosją!

— Rosja, po rewolucji komunistycznej, stała się najdalej posuniętą forpocztą techniki zachodniej. Rosja przejęła wszystkie swoje teorie z Zachodu i zastosowała je w praktyce. Zredukowała człowieka do zera, tak właśnie jak się tego nauczyła na Zachodzie. Przekształciła całe społeczeństwo w olbrzymią maszynę".

I jeszcze jedno. Ostatnie.

Taki stan rzeczy musi niszczyć życie na ziemi, bo uniemożliwia miłość. Maszyna nie może kochać.

„Społeczeństwo, do którego należycie, wierzy, że każdego człowieka można zastąpić. Nie widzicie wcale w człowieku, a więc i w kobiecie, którą niby kochacie, unikatu stworzonego przez Boga czy naturę w jednym jedynym wydaniu. Dla was ludzie są seryjni. Otóż miłość istnieć może tam tylko, gdzie istota ludzka, kochana, jest jedyną i niezastąpioną'".

Jak się wyżej rzekło, książkę Virgila Gheorghiu przedmową poprzedził Gabriel Marcel, francuski filozof katolicki i egzystencjalista. Przedmowa ta podkreśla głębokie znaczenie symptomatyczne diagnozy postawionej przez rumuńskiego pisarza i w paru ważkich zdaniach dopełnia ją filozoficzną podbudową.

Przede wszystkim tłumaczy G. Marcel, co oznacza zdanie, że „ziemia przestała należeć do ludzi". Znaczy to, — stwierdza — że na skutek monstrualnej tresury, ludzie przestali zachowywać się jak ludzie. Albo jeszcze inaczej i lepiej, gdyż sięga się tu przyczyny filozoficznej: „jeżeli obywatele demokracji ludowych stali się czym są, to nie dlatego, by nagle stali się maszynami, ale dlatego, że stają się pod-ludźmi, u których nienawiść do jakiejkolwiek wyższości duchowej staje się zasadą życiową. Co prawda życie takie jest zdegradowane i obraca się wciąż przeciw życiu prawdziwemu, opartemu o twórczość i miłość".

Wracamy inną drogą do znanego już nam spostrzeżenia: twórczość i miłość muszą wspierać się na wyborze i na niezastąpionych, niewymiennych wartościach osobowości ludzkiej. A tymczasem cywilizacja współczesna postępuje właśnie przeciwnie: „Zło polega — powiada Gabriel Marcel językiem filozofa a nie już powieściopisarza — na substytucji abstraktu zamiast konkretu. To podstawienie znajduje się u podstawy jeżeli nie techniki, to technokracji, która — jeszcze bezkształtna — wypracowuje się w naszych czasach".

Skąd się to wzięło? Osąd filozoficzny G. Marcel'a nabiera tu zasadniczego znaczenia. Oto skłonny jest przyczyn szukać daleko wstecz, nie u samych technokratów, którzy nie bardzo wiedzą co czynią, ale wręcz w filozofii idealistycznej, obejmującej bardzo wielkie nazwiska: „Zastanawiam się, czy technika w tym, że uważa siebie za cel i zajmuje miejsce t. zw. wartości przebrzmiałych, — nie jest spadkobierczynią idealizmu filozoficznego, którego złośliwego à la longue działania, nie da się już zaprzeczyć." Myśliciele typu Kanta i nawet Hegla należą do wielkich nazwisk ludzkości i byłoby absurdem czynić ich bezpośrednio odpowiedzialnymi za obecną katastrofę ludzkości. Jednakowoż tak się sprawy potoczyły, jak gdyby bez własnej woli znaleźli się oni wprzęgnięci w służbę nie własnej sprawy. Losy np. uniwersalizmu hegeliańskiego są pożałowania godne: doszedł on oto do reżymu całkowicie ze sobą sprzecznego, bo niszczącego w zarodku samo pojęcie uniwersalizmu. Przyczyn takiego zniekształcenia szukać należy — sądzi G. Marcel — na głębinach metafizyki i teologii:

„Twierdzić wolno, — pisze — że idealizm filozoficzny stał się złośliwy od chwili, gdy stracił jakąkolwiek łączność z Objawieniem i nauką św. Jana o Słowie, z chwilą, gdy skierował się na drogę ubóstwienia człowieka przez człowieka, a nie na drogę Łaski, wychodzącej naprzeciw człowieka."

Słowa zastanawiające dla filozofa i świadczące o wielkiej rewizji wartości, jaką nadchodzi ze strony samejże filozofii spirytualistycznej.

Do rewizji takiej zmusza stan współczesnego świata, którego zatrważający obraz przynosi książka Virgila Gheorghiu.

Władysław Folkierski

FELIX MORLION, O. P.
Rektor Uniwersytetu Międzynar. „Pro Deo" w Rzymie.

FILOZOFIA TOMISTYCZNA RUSZA DO KINA

I

Mój przyjaciel A. Ruszkowski przysłał mi ten wspaniały tytuł i prosił, abym w jego ramach streścił główne tezy, których nauczamy w sekcjach filmowych Uniwersytetu „Pro Deo" w Rzymie i Instytutu Nauk Publicznych („Institut des Sciences de l'Opinion Publique") w Paryżu. Nigdy bym nawet nie zamarzył o wymyśleniu takiego tytułu, gdyż zarówno u speców filmowych, jak i najprawdopodobniej wśród tomistów wywoła on odruch niechęci, dreszcz zgrozy, a może nawet ryk. A jednak, po zastanowieniu, wydaje mi się, że mój przyjaciel Ruszkowski ma rację. Należy zmusić speców kina i tomizmu, aby skoczyli na nogi — choćby pod wpływem zaskoczenia —, gdyż mają wszelkie powody, aby się spotkać, choćby tylko **mimochodem**.

Producent filmowy czuje, że zrobił piękny film, krytyk zgadza się, albo się nie zgadza, przytaczając swe argumenty i interpretacje, publiczność pcha się, aby film obejrzeć, bo „jest piękny", albo ułatwia ucieczkę od rzeczywistości; nawet właściciele rozdzielni filmowych przeprowadzają swe kalkulacje według własnej koncepcji o pięknym filmie, który podoba się publiczności. Ponadto jest wielu ludzi filozofujących — być może bez świadomości, że czynią, podobnie jak **Monsieur Jourdain** Moliera, który był bardzo zaskoczony, gdy mu powiedziano, że za każdym razem, gdy tworzy zdanie, używa — gramatyki i składni. Zaprawdę, człowiek jest zwierzęciem nieuleczalnie filozofującym — istotą osądzającą rzeczy według własnej koncepcji o ich wewnętrznej naturze i ostatecznych przyczynach.

Gdy słyszy się, że wszyscy w świecie filmowym mówią o pięknie, jest rzeczą naturalną podjąć próbę ustalenia o czym właściwie jest mowa. Ponieważ zaś tomiści wiedzą, że ich filozofia jest przeciwstawieniem filozofii idealistycznych w tym sensie, że poszukuje zetknięcia z rzeczywistością, z istotą rzeczy, więc oczywiście powinni towarzyszyć nam w wysiłku określenia natury piękna nawet w świecie tak mało scholastycznym jak filmowy.

Proszę mi wybaczyć, że zacznę od samego początku — od zasad ogólnych, według których możemy rozpoznać samo piękno jako takie, aby w końcu dojść do czegoś ściśle określonego o pięknie w filmie.

ZAGADNIENIE INTROSPEKTYWNE: ZASADNICZE SKŁADNIKI DOZNANIA ESTETYCZNEGO

Nie ma nic mniej teoretycznego jak filozofia arystotelesowsko-tomistyczna, którą pokrótce nazywamy tomizmem. Inteligencja ludzka dochodzi do wiedzy o wewnętrznej naturze rzeczy, opierając się na wiadomościach otrzymanych za pośrednictwem zmysłów: **nihil in intellectu quod prior non fuerit in sensu** (nic nie powstaje w umyśle, co przedtem nie było doznane zmysłami). W sprawie, która nas interesuje, tomista zacznie od oglądania rzeczy pięknych, próbując jednocześnie rozeznać jasno co się w nim dzieje, gdy to czyni.

Innymi słowy, według tomizmu istotę, czyli naturę piękna można rozeznać przez indukcję, rozpoczynając od analizy wewnętrznego przeżycia, to znaczy od psychologicznej samokontroli aktu oceny estetycznej. Każdy normalny człowiek może się przekonać, że ocena estetyczna różni się od innych rodzajów poznania następującymi czynnikami:

1. jest to poznanie zmysłowe (wzrokowe lub słuchowe, albo wzrokowo-słuchowe jednocześnie),

2. jest to zarazem poznanie intelektualne o charakterze powszechnym, wykraczającym poza ramy zwykłego doznania indywidualnego za pośrednictwem zmysłów zewnętrznych (wzrok, słuch) lub wewnętrznych (wyobraźnia, pamięć),

3. poznanie to sprawia także radość.

Ścisła łączność, jaka zachodzi przy ocenie estetycznej pomiędzy poznaniem zmysłowym a intelektualnym stawia nas wobec faktu idei ucieleśnionej w materii. W ten sposób dochodzimy częściowo do poznania intuicyjnego, różnego od poznania abstrakcyjnego, które wprawdzie jaśniej wyodrębnia same idee, ale zarazem skłonne jest do pozbawiania ich licznych konkretnych powiązań.

Radość estetyczna w zespoleniu z poznaniem przemienia ocenę estetyczną w bezinteresowną rozkosz. Poprzedza ona osąd, przy pomocy którego osoba poznająca uświadamia sobie, że przedmiot poznawany jest czymś innym niż ona sama. Przedmiot ofiarowany komuś na własność jest także rzeczą odrębną od osoby obdarowanej (choć do niej należy) — i także sprawia przyjemność, albo w jakiś inny sposób odpowiada naturalnym dążnościom woli, ale radość, jaka powstaje w ten sposób, różni się zasadniczo od rozkoszy estetycznej.

Nowocześni teoretycy estetyki napisali tomy o tym podstawowym zjawisku i w dalszym ciągu prowadzą spory na temat zagadnień intuicji i wzruszeń, towarzyszących doznaniom estetycznym. Tomizm nie ma powodu sprzeciwiać się tym teoriom po prostu dlatego, że św. Tomasz nigdy nie opracował żadnego traktatu o estetyce. Nie uczynił tego głównie z tej przyczyny, że nie posiadał niezbędnego bogactwa różnych doznań estetycznych, bo nie znał najwyższych form malarstwa, literatury, muzyki, no i — rzecz jasna — sztuki filmowej, która powstała po Odrodzeniu. Jednak zasady jego metafizyki zawierają niewątpliwie ową „philosophia perennis", z której właściwe rozeznanie dobywa — w związku z bieżącymi zjawiskami — wszystko, co w obiektywnej rzeczywistości jest istotne, aby dojść do przyczyny i skierować rozumny umysł na drogę poznania „tego co jest". Zaiste, bardzo niewiele spośród uwag św. Tomasza i scholastyków na temat psychologicznej introspekcji zostało zdezaktualizowanych w obecnym stadium cywilizacji. Jest rzeczą znamienną, że zdanie, wypowiedziane marginesowo — „per accidens" — w dziele św. Tomasza, streszcza nam z potężną prostotą podstawowy element przeżycia estetycznego: „Pulchrum est quod visum placet" (piękne jest to, co się podoba w intuicyjnym doznaniu).

PROBLEM ROZUMOWY: DEFINICJA PIĘKNA

Doznanie piękna, ten szczególny sposób ludzkiego poznania, jest faktem zupełnie realnym, którego nikt nie może zepchnąć do dziedziny teorii i fantazji filozoficznych. Z drugiej strony jest rzeczą całkiem jasną, że to estetyczne doznanie, które znamy jako akt poznania intuicyjnego naładowanego wzruszeniem, spowodowane jest przedmiotami, należącymi do świata zewnętrznego. Doznajemy zachwytu estetycznego i radości tylko wtedy, gdy działa na nas przedmiot należący do świata zewnętrznego. Doznanie estetyczne jest skutkiem, którego przyczyną jest piękny przedmiot.

Powstaje zatem zagadnienie filozoficzne, należące do rzędu tych pytań z dziedziny ogólnego zdrowego sensu, których postawienia sobie nie może uniknąć żadna istota rozumna: jaka jest natura piękna, będącego przyczyną doznania estetycznego?

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, filozof-tomista nie poprzestanie — jak to często przypuszczają filozofowie nowocześni — na przeprowadzeniu w swoim umyśle manipulacji pewną ilością sylogizmów, aby przez zwykłą grę przesłanek dojść do konkluzji. Ani Arystoteles, ani św. Tomasz nie rozbudowali swych systemów filozoficznych do tego stopnia, aby zapewnić odpowiedzi na rozliczne pytania z dziedziny czystej estetyki. Ponadto nie ma dziedziny myśli tak trudnej do filozoficznego ujęcia jak sztuka. Będąc twórcą, artysta jest w pewnym sensie najbardziej podobny do Boga, a do tego stwarza swój własny świat, z własnymi prawami wewnętrznymi, różniący się ogromnie od światów, stworzonych przez innych artystów. Jak można w tych warunkach określić, co jest elementem wspólnym w całej różnolitości i wielości zjawisk, które oszałamiają zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy świadkami rozkwitu takich sprzeczności jak naturalizm, impresjonizm, kubizm, ekspresjonizm, nadrealizm itp.?

W tym krótkim zarysie postaramy się sformułować jedno konkretne i rzeczowe pytanie i dać podstawy niezbędnej odpowiedzi.

Pomimo przeogromnej wielości i różnorodności rzeczy, które nazywamy pięknymi, pozostaje faktem, że wszystkie wzbudzają w nas takie samo, szczególne i skomplikowane pomieszanie doznań zmysłowych i intelektualnych — naładowane wzruszeniem, które całego człowieka przenika dreszczem.

Pytanie filozoficzne nabiera wobec tego trochę paradoksalnego charakteru: musimy przyjąć, że doznanie estetyczne istnieje — ale dlaczego jest ono możliwe? Jedyna właściwa odpowiedź brzmi: rzecz doznawana, rzecz piękna, która daje radość przez sam intuicyjny akt jej poznawania przez człowieka musi być w swej naturze podobna do natury człowieka doznającego. W ten sposób dochodzimy do niespodziewanego zastosowania jednej z wielkich centralnych idej metafizyki tomistycznej — idei o „connaturalitas" *) (zgodności natury), tworzącej pomost do rzeczy transcedentalnych — do Boga i Prawdy — zarówno w sztuce jak i w mistyce. W dziedzinie darów Ducha Św. i głębokich prawd życia mistycznego św. Tomasz, wychodząc z pojęcia poznania przez zgodność natury (connaturalitas), będącego owocem miłości bożej, sformułował syntezy o wartości wiecznej.

Inny świat, nie mniej tajemniczy, a zarazem zasługujący na miano naturalnie boskiego, oczekuje na swoje odkrycie: tajemniczy świat sztuki, tworzenia piękna. Musimy się tu ograniczyć do wyłożenia w sposób zupełnie prosty kolejnych stopni rozumowania, które doprowadzą do naszych konkluzji.

1. Natura piękna musi być w swej istocie podobna do natury człowieka odbierającego je drogą poznania, które angażuje jednocześnie zmysły (materię) i inteligencję (ducha) w jedności tak silnej, że staje się zarazem radością.

2. Zważmy teraz, iż natura człowieka polega na tym, że jest on jednocześnie i materią i duchem, i że w tym zjednoczeniu, najbardziej intensywnym i zupełnym — zwanym substancjalnym — elementy materialne czerpią swą jedność, a nawet samo swe istnienie z ducha: z rządzącej materią zasady duchowej, którą nazywamy duszą.

3. Wyprowadźmy krótką konkluzję: piękno jest to czynnik materialny, który swój kształt istotny, swą podstawową jedność wywiódł z zasady duchowej, to znaczy z zasady rządzącej materią.

Przekład: St. Pałęcki

*) Jest to pojęcie antropologiczne, raczej mało używane przez św. Tomasza a nie centralna idea metafizyki tomistycznej, co jednak nie odbiera wartości dalszym wywodom ojca Morlion. RED.

KAZANIE PRYMASA POLSKI

J. E. X. ARCYBISKUPA STEFANA WYSZYŃSKIEGO

wygłoszone w dniu 12 lutego Kościele Zbawiciela w Warszawie

W „Osservatore Romano" z dnia 10 — 11 b.m. ukazał się przedruk wszystkich dokumentów dotyczących prześladowania Kościoła w Polsce na tle sprawy Caritas, podanych w tłumaczeniu włoskim za ostatnim numerem słynnego dwutygodnika OO. Jezuitów „La Civilta Cattolica" (zeszyt 2496). Po wstępie od redakcji „Civilta" następuje tłumaczenie znanego naszym Czytelnikom Listu Pasterskiego J. E. X. Bpa J. Gawliny, (który już poprzednio ukazał się osobno w „Osservatore Romano"). Dalej idzie znany naszym Czytelnikom protest całego Episkopatu Polski wystosowany do p. Bolesława Bieruta, podpisany przez wszystkich Ordynariuszów i Administratorów Apostolskich i sekretarza Episkopatu X. Bpa Z. Choromańskiego, oraz List Episkopatu do Kleru polskiego, przedrukowany przez naszą „Gazetę Niedzielną". Zarówno protest do p. Bieruta jak List do Kleru zostały wydane w dniu 30 stycznia br. w czasie konferencji całego Episkopatu w Krakowie.

Na tej samej konferencji Księża Biskupi Polski postanowili, aby w dniu 12 lutego wszyscy wierni zostali poinformowani o faktycznym stanie sprawy. To oświadczenie Biskupów, które mimo niezwykłych gwałtów na księżach, zostało odczytane z ambon w Kościołach, „Civilta" i „Osservatore" podają w streszczeniu. Nie było ono drukowane w prasie emigracyjnej.

Następuje tłumaczenie kazania Prymasa Polski J. E. X. Arcybiskupa St. Wyszyńskiego, które to kazanie drukujemy poniżej. Pragniemy zwrócić uwagę Czytelników szczególnie na dwa miejsca: Zaraz na wstępie X. Prymas mówi wiernym, że wyjaśnienie w tych sprawach mieli uzyskać od swych proboszczów, ale wynikałoby z tego, że nie we wszystkich kościołach oświadczenie Episkopatu z dn. 30 stycznia br. mogło być odczytane: nie odczytano go w kościołach archidiecezji warszawskiej i archidiec. gnieźnieńskiej.

Drugie miejsce, na które zwracamy uwagę, to napiętnowanie przez głowę Kościoła w Polsce niegodziwej działalności grupy t. zw. „katolików postępowych" w Kraju, którzy nie tylko przyłączyli się w ostatnich wypadkach do prześladowców Kościoła, nie tylko zaangażowali się w akcji terroru, jaką rozpoczął reżim z okazji likwidacji Caritas, dając ludzi ze swej grupy do zarządu reżimowej Caritas, nie tylko brali udział w rozsiewaniu komunistycznych kłamstw o działalności tej instytucji, ale uznali te tragiczne zajścia za okazję do pouczania Episkopatu Polski o jego obowiązkach.

Po kazaniu X. Prymasa, „Civilta" i „Osserv. Romano" dają z kolei tłumaczenie Listu Episkopatu z 16 lutego do p. Bieruta, w którym znajduje się tragiczny obraz prześladowań Kościoła w Polsce. Dokument ten poprzedza „La Civilta" następującym wstępem:

Ustaliwszy publicznie fakty, wziąwszy odważnie całą odpowiedzialność za czynności swego urzędu przed najwyższymi władzami i przed narodem; wypełniwszy swój obowiązek pasterski przez upomnienie kapłanów i wiernych w tym, do czego oni z kolei są zobowiązani i przez wydanie odpowiednich zarządzeń, świadomi skutków, jakie stąd mogą wyniknąć, mieli Biskupi już tylko jedno do zrobienia: „oświadczyć w solennym akcie przed Bogiem, światem i historią kto odpowiada za zbrodnię na narodzie, która już się na nim dokonywa — otwartego i krwawego prześladowania Kościoła katolickiego w Polsce. Uczynili to w (...) dokumencie o najwyższym znaczeniu historycznym, jako głos upoważniony i najczcigodniejszy całego narodu polskiego, przed najwyższą władzą narodu, która stała się narzędziem okrutnej, obcej tyranii'.

W chwili, gdy drukuje się ten numer ŻYCIA, nadeszły znane Czytelnikom z radia i prasy codziennej wiadomości o zawarciu układu pomiędzy Kościołem w Polsce a reżimem. O toczących się pertraktacjach w sprawie znalezienia modus vivendi wiadomości były częste. Sporo rozpisywała się o nich od wielu miesięcy prasa irlandzka.
W tej chwili jednak, gdy mamy do dyspozycji tylko jednostronne oświetlenia układu, zmuszeni jesteśmy powstrzymać się od oceny ostatnich wydarzeń w Kraju, dopóki nie będzie znane oświadczenie Episkopatu Polskiego i Watykanu. RED.

*

Umiłowane w Panu, Dzieci moje!

OCZEKUJECIE ode mnie, jako waszego Pasterza, słów kilka wyjaśnienie w bolesnej dla nas sprawie: zniszczenia kościelnego zrzeszenia dobroczynnego „Caritas". Wyjaśnienie to mieliście dziś otrzymać od duszpasterzy waszych, w imieniu całego Episkopatu Polski. Dla bardzo przykrych powodów zwolniłem duchowieństwo swoje od wykonania tego polecenia. Nie mogę jednak zwolnić siebie, gdyż mam obowiązek mówić prawdę i w imieniu własnym, jako arcybiskup Gniezna i Warszawy, i w imieniu Episkopatu — jako Prymas Polski. W tym akcie spełnionego obowiązku biorę całkowitą odpowiedzialność na siebie z tytułu ciężkiego przed Bogiem, Kościołem i Narodem Polskim urzędu prymasowskiego.

Jestem przekonany, że obowiązkowi memu odpowiada prawo: należę bowiem do napadniętych i oskarżonych. W każdym kulturalnym państwie człowiek napadnięty ma prawo do obrony i pomocy. Tym bardziej więc to prawo posiada Episkopat, któremu wysoki autorytet w Narodzie i szczytne posłannictwo nie pozwalają pozostawiać zarzutów bez odpowiedzi. Ponieważ nie dane jest nam bronić się w prasie i w radio, zmuszeni jesteśmy użyć ku naszej obronie ambony. Ujmę rzecz w kilku punktach:

1. SPRAWA „CARITAS"

Biskupi polscy erygowali w różnych latach, na podstawie prawa kanonicznego, zrzeszenia dobroczynne, które tuż po wojnie otrzymały nazwę „Caritas". Prezesem Krajowej Centrali „Caritas" był J. Em. Ks. Kardynał Adam Sapieha, sędziwy i dostojny Patriarcha Narodu, przed którego bohaterską postawą w obronie nędzarzy chylili się ze czcią niemal wszyscy. Od trzydziestu przeszło lat Książe Arcybiskup Krakowski był dla nas wzorem gorliwej troski o głodnych, nagich i cierpiących dzieci niszczonej przez wojnę Ojczyzny.

Wysoki autorytet naszych Kardynałów i Biskupów zagranicą sprawił, że po wojnie „Caritas" była hojnie zaopatrzona przez katolickich biskupów całego świata, a zwłaszcza Ameryki i przez Polonię Amerykańską. Ofiarodawcy nasi, zwłaszcza z „Ligi Katolickiej" przysyłali swe dary dla świątyń zniszczonych, dla duchowieństwa, dla zakonów, dla seminariów duchownych. Inne dary płynęły dla katolickich zakładów dobroczynnych, dla głodnych i nagich. Wszystkie te dary rozdzielone były zgodnie z intencją ofiarodawców, a wszystkie dowody odsyłane przez „Caritas" do Ligi Katolickiej w Ameryce i innych naszych dobroczyńców. Wyłączną więc zasługą Episkopatu Polski jest, że na jego ręce przyszła tak hojna pomoc katolików zagranicznych. Zasługi tej nie wolno przemilczeć dziś, gdy tak niesprawiedliwe padają na „Caritas" ciosy.

Znacznie już mniejszą część tych środków czerpała „Caritas" z ofiar rzucanych przez wiernych na tace w świątyniach. A procentowo najmniej otrzymała „Caritas" od opieki społecznej i to zazwyczaj w formie nisko odpłatnej za utrzymanie nadsyłanych przez opiekę społeczną dzieci.

W ciągu uciążliwej swej pracy charytatywnej „Caritas" działała zawsze jako instytucja kanoniczna, czysto kościelna; wszelkie bowiem starania nasze o zarejestrowanie statutu przez władze państwowe pozostały bez odpowiedzi.

W wyniku znanej nam już akcji przeciwko „Caritas", Episkopat Polski zmuszony był rozwiązać organizację i złożyć na ręce p. Prezydenta umotywowany protest. Miał do tego całkowite prawo. Biskup, który powołał do życia instytucję kościelną, ma nad nią całkowitą władzę. Tym bardziej należało z tej władzy korzystać, gdyż uznano za możliwe, bez uprzedzenia Biskupów, bez uczynienia jakichkolwiek uwag czy zarzutów, obarczyć centralne i diecezjalne „Caritasy" przymusowymi zarządami.

Dziś, gdy oskarżeniom nie ma granic, gdy użyto wszelkich słów potępienia zanim zdołano zbadać akta, Episkopat przeżywa czarny dzień niewdzięczności. Nie oczekując uznania, musi jednak podnieść swój głos przeciwko niesprawiedliwym zarzutom. Z całą stanowczością musimy odeprzeć niepoważne pogróżki pod naszym adresem rzucane. Nie możemy też uznać pogwałcenia praw Kościoła do instytucji dobroczynnych i zakonnych, które są przekazywane nowej instytucji.

Z urzędu muszę wnieść stanowczy protest przeciwko posługiwaniu się pieczęcią z napisem „Związek Caritas Archidiecezji Warszawskiej", gdyż taka nazwa jest związana z moim urzędem Arcybiskupa Warszawskiego. Kto by zaś chciał w imię Archidiecezji Warszawskiej mnie zastępować wbrew mej woli, niech wie, że jest uzurpatorem władzy duchownej i podlega karom przewidzianym w prawie kanonicznym. Oświadczam, że jest to grzeszne naruszenie uprawnień biskupa, które na terenie archidiecezji warszawskiej tylko do mnie należą, a których nikomu odstąpić nie mogę bez sprzeniewierzenia się memu świętemu urzędowi. Oświadczam też uroczyście, że za wszelkie działania wykonywane poza mną, w imieniu Archidiecezji Warszawskiej, nie odpowiadam.

2. UDZIAŁ DUCHOWIEŃSTWA W WALCE Z „CARITAS"

Stokroć boleśniejsza jest dla nas sprawa pogwałcenia prawa do wolności osobistej duchowieństwa, które podstępnie zmuszone zostało do brania udziału w gorszących zajściach w Politechnice Warszawskiej. Intencje tego zebrania okazały się jasne z przemówień, nie szło tu już o naprawienie „Caritas", ale raczej o mobilizowanie duchowieństwa przeciwko Episkopatowi, a w dalszym następstwie — o rozbijanie Kościoła.

Przeciwstawialiśmy się zawsze, zgodnie zresztą z życzeniem władz, mieszaniu duchowieństwa do polityki; dlatego też bolejemy, że usiłowano pogwałcić te zasady. Kapłan, powołaniem swoim, ma służyć wszystkim. Ilekroć wiąże się z partiami, przestaje być ojcem duchownym, a staje się agitatorem.

Duchowieństwo katolickie wie, że nie może brać udziału w zebraniach o charakterze politycznym, a zwłaszcza skierowanym przeciwko instytucjom kościelnym. Nie może też przyjmować żadnych urzędów od władz niekościelnych. Istnieje w Kościele władza hierarchiczna, do której jedynie, pod karą nieważności, należy powoływać na wszelkie stanowiska w instytucjach kościelnych. Paradoksem jest mianować kapłana urzędnikiem w instytucji zabranej Kościołowi. Chociaż próby takie były dość często przez państwo czynione, i dawniej i dziś Kościół zawsze uważał to za pogwałcenie swego ustroju. W ostatnich dniach gwałty wobec duchowieństwa były ponowione, gdy usiłowano zmusić do przemilczenia oświadczenia Episkopatu w sprawie „Caritas".

3. POROZUMIENIE KOŚCIOŁA I PAŃSTWA

Na tle ataku na kościelną „Caritas" wypłynęła sprawa porozumienia Kościoła i Państwa. Nie poruszałbym tej sprawy, gdyby nie upoważnienie ze strony wysokiego przykładu.

Episkopat spotkał się z zarzutem, jakoby tego porozumienia nie chciał. W rzeczywistości znana jest prawda, że Kościół stoi zawsze na stanowisku koniecznej współpracy z Państwem. Biskupi polscy od wielu już lat rozmawiali przez swego Sekretarza z Rządem i składali p. Prezydentowi Rzeczpospolitej swoje przedłożenia: zazwyczaj pozostały one bez odpowiedzi. Episkopat wyłonił ze swego grona trzech Biskupów, którzy za upoważnieniem całego grona prowadzili rozmowy z komisją rządową. dlaczego więc nie dochodziło do ułożenia modus vivendi? Pomijając całą trudność zagadnienia, wiążącego się z różnicą światopoglądu stron, Episkopat był stale niepokojony niezrozumiałą metodą: właśnie w okresie rozmów zadane zostały Kościołowi najcięższe szkody, przez wydawane antykościelne ustawy i rozporządzenia, które historia śmiało nazwać może „prawami sierpniowymi". Przez nie to właśnie Kościół został pozbawiony swych bractw i stowarzyszeń, których nie mógł rejestrować; utracił kilkadziesiąt szpitali katolickich, boleje nad niweczonym szkolnictwem swoim. Zakony zmuszone były poddać się wnikliwej rejestracji. Nie omieszkano ograniczyć swobody zebrań, procesji, religijnych pielgrzymek, wizytacji kanonicznych, nawet nabożeństwa i misji kościelnych.

Wreszcie, właśnie w trakcie rozmów, bolesna sprawa „Caritas", starannie osłaniana przez czynniki miarodajne milczeniem na Komisji. Jeśli ten nalot antykościelnych rozporządzeń miał być metodą pozyskiwania drugiej strony, to trzeba przyznać, że metoda ta wywierała odwrotny skutek. Nie tyle sama trudność spornych problemów, ale właśnie ta metoda gwałcenia i zaskakiwania pogłębiała różnice. I dziś Episkopat, choć rozmów nie przerwał, jest jednak zdania, że droga do porozumienia prowadzi nie przez pogarszanie sytuacji prawnej Kościoła, ale przez odwołanie antykościelnych rozporządzeń.

Na zakończenie pragnę wyrazić swoje ubolewanie pod adresem pewnego odłamu prasy i skupionych przy niej ludzi, którzy nazywając się „katolikami postępowymi", niepokoją nas brakiem zmysłu katolickiego, niedouczeniem teologicznym, a dziś chcą odegrać niezrozumiałą rolę nauczyciela i mentatora Biskupów. Chętnie przyjmujemy każdą gotowość do współodpowiedzialności za sprawy Kościoła; ale jej warunkiem jest znajomość nauki Kościoła i ś w i a d o m o ś ć porządku hierarchicznego. Katolików polskich ostrzegamy przed głoszonym w tej prasie pomieszaniem pojęć, zwłaszcza w dziedzinie moralnej i społecznej, przed błędną oceną stanowiska Ojca św. płynącą z tych pism, których za katolickie uważać nie możemy. A dziś ostrzec musimy przed anektowaniem Biskupich urzędów charytatywnych, instytucji dobroczynnych kościelnych, których własności bronić musimy.

Umiłowane Dzieci!

Powierzyliśmy Wam nasze troski, ale nie chcemy Was napełniać smutkiem ani też niechęcią do nikogo. Smutek zwalczajcie mądrością dziejową, która przypomina, że nie pierwszy raz Kościół w ciągu 20 wieków bronił swej wolności duchowej przed cezaro - papizmem, bizantynizmem, gallikanizmem itp., i chociaż przeszedł przez ciężkie doświadczenia, to jednak mocą Ducha Świętego przetrwał zwycięsko.

A niechęć i gniew, choćby sprawiedliwy, zwyciężajcie miłością, która tym bardziej jest potrzebna, im więcej ludzi się od niej oddaliło. I dlatego kończąc, Drogie dzieci, wzywam Was do modlitwy za prześladujących i potwarzających nas. Nikomu złem za złe nie odpłacajmy, lecz przeciwnie, dobrze czyńmy tym, co nas mają w nienawiści. Nie przestajmy tracić nadziei, że w odrodzonej Polsce odzyska swe słuszne prawa i Kościół Święty. O to nie przestajemy się modlić i Was do modlitwy zachęcamy, z serca błogosławiąc.

ODWOŁANIE ORATORIUM

p. t.

APEL MIŁOŚCI

Komisja Obchodu Roku Świętego Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w W. Brytanii zawiadamia, że z przyczyn niezależnych od organizatorów, oratorium mówione p. t.:

APEL MIŁOŚCI

które miało być wygłoszone w dniu 30 b. m. w sali przy katedrze Westminsterskiej w Londynie, zostało odłożone do m. października 1950 r.

ADRIAN CHALIŃSKI

STOSUNKI FRANCUSKO-POLSKIE (III)

UNIESIENIA I ZGRZYTY

POSŁOWIE polscy, którzy dnia 19 sierpnia 1573 r. odbyli swój uroczysty wjazd do Paryża, zyskali uznanie i sympatię Paryżan. Pan de Thou pisze o nich: „Les Parisiens regardaient avec admiration ces hommes d'une taille avantageuse, leur noble fierté accompagnée d'une gravité extraordinaire" i dodaje o ich wykształceniu, że „il n' avait pas un parmi eux qui ne sût parler latin et plusieurs savaient encore l'italien et l'allemand, quelques uns meme parlaient notre langue si purement qu'on les eût prit plutôt pour des hommes élevés sur les bords de la Seine et de la Loire, que pour des habitants de contrées qu'arrose la Vistule et le Dniepr". 1) Wytworni Paryżanie, wyczuwają w tych Polakach wyrosłych na lekturze autorów łacińskich, ludzi poważnych, rozsądnych, statecznych, co im imponuje, skoro dwór Walezjuszy był przeciwieństwem tych zalet. Lecz, już w lat 60 później, kiedy inna legacja przybywa nad Sekwanę, by uzyskać rękę Marii-Ludwiki ks. niwernijskiej i mantuańskiej zarówno w zapiskach pani de Motteville jak i innych raz po raz wyłania się słowo „barbare", podkreśla się, że Polacy noszą wprawdzie wspaniałe delie i kontusze, złotolite pasy i klejnoty, ale nie... używają bielizny! Ciekawe jest porównanie tych dwóch epok, schyłku złotego wieku i początku epoki moralnego i politycznego podupadania.

Kilkomiesięczny pobyt panów francuskich przybyłych z Walezym do Polski, otworzył im również oczy na pewne cechy Polaków. Filip Desportes, dworzanin królewski, wynurza się na ten temat w wierszu „Adieu à la Pologne", pisząc:

„Adieu Pologne, adieu plaines désertes,
Toujours de neige et de la glace couvertes.
Adieu, pays d'un éternel adieu!
Barbare peuple, arrogant et volage,
Vanteur, causeur, n'ayant rien que langage,
Qui jour et nuit dans un poele enfermé
Pour tout plaisir se joue avec un verre,
Ronfle à la table et s'endort sur la terre,
Puis comme un Mars veut etre renommé". 2)

Czy tak było naprawdę? Czy Polacy „zabawiali" się jedynie „szklanicą" i zasypiali na ziemi obezwładnieni starym węgrzynem? Nie ulega wątpliwości, że bardziej gustowali w alkoholach i innych gwałtownych rozrywkach jak Francuzi. Nie świadczy to ani o wyższości jednych ani o niższości drugich: inny kraj, inny temperament, inne warunki bytu powodują odmienne obyczaje.

Jan Kochanowski, biorąc na siebie obronę swych rodaków i zaatakowanie słabych stron Francuzów, odpowiada Desportes'owi wierszem „Gallo crocitanti". — Z relacji posłów weneckich z tychże czasów mianowicie Giuliano Lippomano z r. 1575 dowiadujemy się, że „wielu z nich (Polaków) przyzwyczajonych jest do spania na stołach i na ziemi używając jako łóżka własnego ubrania, a zamiast poduszki siodła" oraz, że „pijąc przy posiłkach pozostają nieraz siedem lub osiem godzin przy stole... zmuszając do picia obcokrajowców i uważając jako wielka obrazę gdy [illegible] gość nie chce pić". O stosunku do obcych pisze on: „nie spoglądają dobrym okiem na obcych... mimo to jednak skłaniają się w swych sympatiach do narodu włoskiego". Z tych kilku choćby urywków wynika, że ocena p. Desportes nie jest z gruntu fałszywa chociaż nie pozbawiona ostrza docinków.

A jak Polacy owcześni, szesnastowieczni, widzieli Francuzów? Od[illegible] owczesne „powiedzonko":

„Wzrostu małego,
Statku lekkiego,
Czarny włos mają,
Nauk mijają,
Są uszczypliwi,
I skokotliwi,
Zbytecznikowie,
Lubo starcowie,
Przedawczykowie,
I gamratowie,
Wykrętnikowie,
Królobójcowie".

To proste, raczej ludowe sformułowanie charakteru francuskiego jest-jeśli za tło weźmiemy charakter owczesny polski, — raczej słuszne. Lekkość francuska, tak chwalona od kilku wieków, nazwana jest tutaj „zbytecznictwem", wytwornośc wyrażania się czyli ta najbardziej podziwiana cecha ducha francuskiego przeradza się w ocenie owczesnych Polaków w „wykrętnictwo" i „uszczypliwość". Praktyczność względnie zdolności kupieckie — jako kupców przecież poznawano ich nieraz w Polsce — szlachta owczesna piętnuje słowem „przedawczykowie". A może słowo to ma oznaczać coś więcej? Brak zasad czy po prostu — zdolność dostosowania się do okoliczności, dla nas tak obca? Może oznacza ono — bo w tym sensie w Polsce było ono używane — zdradzieckość i przekupność. Przedawczyk — to był człowiek przekupny.

Nie mniej jednak, mimo tych wzajemnych drwinek i dokuczeń, tak zrozumiałych tak z jednej jak z drugiej strony, ludzie objektywni i głębsi w rozumowaniu, musieli przyznawać zalety tak jednym jak drugim. Mimo słowa „barbare" pobrzmiewającego w relacjach XVII wieku o Polsce, pani de Sévigné, słynna pisarka nieśmiertelnych listów, wykrzykuje pisząc do pani de Grignan 29 grudnia 1673 r. „Il y a une nouvelle de l'Europe qui m'est entrée dans la tete: le grand maréchal mari de m-lle d'Arquien est à la tete d'une armée contre les Turcs a gagné une bataille si pleine et si entière qu'il est demeuré quinze mille Turcs sur la place: il a pris deux bassas, il s'est logé dans la tente du général et cette victoire est si grande qu'on ne doute point qu'il ne soit élu roi, d'autant plus pu'il est à la tete d'une armée et que la fortune est toujours pour les gens batailleurs. Voilà une nouvelle qui m'a plu!" 3) Chodzi tu o bitwę pod Chocimem, drogą sercom polskim, która 11 listopada rozjaśniła niebo nad naszą Ojczyzną. W radości p. de Sévigné jest dużo z uznania dla narodu, który w owym czasie tak wspaniale przedstawił Europie Jan Sobieski. — Od wieku XVII aż po ostatnie prawie czasy uznanie Polaków zyskiwały wyroby francuskie, ich gust, wykonanie, „szyk" paryski i mody. To też rozumiemy dobrze słowa wojewody nowogrodzkiego Józefa Aleksandra ks. Jabłonowskiego, twórcy „Societas Jablonoviana" w Lipsku, gdy pisze: „jako tedy Włosi do inventu (wynalazku) tak Francuzowie są do egzekucji (wykonania) i do inventu. Bo trzeźwiejszego rzemieślnika z większą aplikacją nie masz nad Francuzów".

Każda przesada jednak powoduje przesyt: inwazja mody francuskiej, małpowanie obyczajów francuskich tak modne wśród magnatów XVIII w., powoduje polskiego La Fontaine'a ks. Ignacego Krasickiego do napisania „Żony modnej":

Poszły słoiki z apteczki, poszły konfitury
A nowem dziełem kunsztu i architektury,
Z półek szafy mahoni, w nich książek bez liku,
A wszystkie po francusku..."

Gdy do połowy XVIII wieku spoglądaliśmy na kulturę francuską raczej przez pryzmat właśnie mody i towarzyskich obyczajów, czasem sztuk pięknych, encyklopedyści francuscy, następnie rewolucja 1789 i następujące szybko po sobie konwulsje wewnętrzne, skierowały uwagę na zagadnienia głębsze i kazały się zastanowić nad sprawami społecznymi i państwowymi. Oczywiście refleksje te nie przenikały do dworków szlacheckich, w których, jak mówi Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", mawiano, iż Francuzi zrobili odkrycie „iż ludzie są sobie równi". Idee społeczne napewno docierały jednak do zamożnych rodzin mieszczaństwa warszawskiego, krakowskiego, lwowskiego i innych dużych miast Rzeczpospolitej.

Jak już wspomnieliśmy właśnie epoka Legionów Dąbrowskiego spowodowała, iż serca polskie i francuskie biły jednym rytmem: oczywiście nie wszystkie. Gdyż znów, jak tylokrotnie przedtem, pojęcie wolności było inne, po tej i tamtej stronie. Postępowcy polscy nie chcieli rewolucji, nie chcieli konwulsji rewolucyjnych, pozatem myślano przedewszystkim o wolności politycznej, odkładając sprawy społeczne na później lub zapoczątkowując je, nieśmiało, w konstytucji 3 maja.

Najbardziej jałową epoką współżycia polsko-francuskiego były czasy III Republiki, kiedy ona sama, niby wózek pchnięty silną ręką, biegła jedynie z racji tej siły rewolucyjnej, przeradzając się po drodze w państwo o typie liberalnej republiki burżuazyjnej, czyli w praktyce, łagodnej oligarchii pewnej warstwy. Wpływy literackie i artystyczne grały tutaj większą rolę jak wpływy polityczne, tymbardziej, że owczesna Francja już nic nowego, poza powtarzaniem starych formułek, nie dała. Oczywiście, że stanowiła, jak powiedzieliśmy, ten olbrzymi rezerwuar kulturalny, jedyny bodaj w czasie niewoli, z którego czerpała polska mentalność zachodnio-europejską. Podobnie jak za pierwszych naszych królów szła z Francji „dobra nowina" wolności. Gdy misjonarze francuscy głosili, że przed Bogiem wszyscy są równi i jedynie ich uczynki stanowić będą miarę nagrody czy kary, w owych czasach Chełmszczyzny, i Wrześni, z Francji szły słowa o wolności. Nigdy jednak nie doszło już do tej synchronizacji co za Legionów. Niechętne w zasadzie stanowisko Piłsudskiego wobec Francji, ujawniające się nieraz nawet w drobnych epizodach jak np. podczas pobytu marsz. Foch'a w Polsce, przypisać należy okoliczności, że nie wierzył on w Francję rewolucyjną, socjalistyczną, widząc w niej państwo burżuazyjne. Sądził, że kraj ten doszedłszy, swoim zdaniem, do „optimum" społecznego, nie zamierza robić dalszych kroków na drodze do dalszej ewolucji, lecz kontentować się będzie zagwarantowaniem „status quo". Była to więc ocena pod kątem widzenia wewnętrznych zdolności ewolucyjnych nie zaś na płaszczyźnie polityki zagranicznej. Socjalistę Piłsudskiego, będącego jednak równocześnie z temperamentu typowym szlachcicem, irytowało francuskie „burżujstwo" i „episjerstwo" wytykane im często przez nas. Działo się to tymbardziej, że jak powiedzieliśmy, Francuzi, mimo konwencjonalnej przyjaźni i gestów, uważali w tych ostatnich 80 latach Polaków za partnerów niefortunnych i wątpliwych. I w jednym i w drugim zdaniu było sporo prawdy.

Adrian Chaliński

1) „Paryżanie spoglądali z podziwem na tych mężczyzn słusznego wzrostu, o szlachetnej dumie i niezwykłej powadze"... „nie było wśród nich ani jednego, który by nie mówił po łacinie, a wielu znało również włoski i niemiecki, kilku nawet mówiło naszym językiem tak czysto, że można by było ich wziąć raczej za ludzi, wychowanych nad brzegami Sekwany czy Loire'y niż za mieszkańców okolic, przez które płynie Wisła i Dniepr".

2) „Żegnaj, Polsko, żegnajcie puste płaszczyzny zawsze pokryte śniegiem i lodem. Żegnaj, kraju wiecznego pożegnania! Narodzie barbarzyński, arogancki i lekkomyślny, pyszałkowaty, gadatliwy, narodzie pustych słów, który dzień i noc spędza przy piecu, za rozrywkę ma szklanicę, chrapie przy stole i zasypia na ziemi, a później chce zażywać sławy niby sam Mars!"

3) „Nadeszła wiadomość z Europy, która mi nie może wyjść z głowy: wielki marszałek, mąż panny d'Arquien, stojący na czele wojska przeciwko Turkom odniósł tak pełne zwycięstwo, że 15 tysięcy Turków zostało na polu bitwy. Wziął dwóch baszów, rozgościł się w namiocie wodza, a zwycięstwo jest tak olbrzymie, że nie wątpię, iż zostanie obrany królem, tymbardziej, że stoi na czele wojska i że fortuna skłania się zawsze ku rębajłom. Oto nowina, która mi się spodobała!"

AUGUSTYN STEFFEN

POCHODZENIE NAZWY SWANTEWIT

MÓWI się, że wiadomości, jakie posiadamy o kulcie pogańskim Słowian zachodnich, są pełniejsze i pewniejsze niż te, które posiadają o kulcie swoich przodków Niemcy. Źródłem do poznania kultu Słowian zachodnich są dzieła kronikarzy niemieckich i duńskich z X, XI, XII i XIII w. Thietmar, Adam z Bremy, Helmold, Saxo, Herbord i Abbo opisują zwyczaje religijne Wagrów, Obodrytów, Połabian, Lutyków, Rugów i Pomorzan. O kulcie zaś religijnym innych Słowian tego rejonu, mianowicie o kulcie Łużyczan, Czechów, Morawian i Polan, źródła te nic nie podają. Milczą także inne źródła, gdy idzie o te kraje. To zaś, co pisze o kulcie pogańskim naszych praojców Długosz (XV w.), uchodzi za wymysł autora lub jego poprzedników.

Wiadomości, przekazane przez wymienionych autorów, są obszerne, lecz dość jednostronne. Znajdujemy tam głównie opisy posągów, świątyń i świąt dorocznych. Ale cenne są nazwy bóstw, których jest kilkanaście: Swarozyc, Tciarnoglofi, Triglav, Swantewit, Redigast, Rugiewit, Porewit, Porenutius, Tripegala, Prove, Sinna (inni czytają Siwa) i Pogoga (inni czytają Pogoda). Z nazw tych wyjaśniono dobrze tylko trzy, mianowicie nazwy Swarozyc, Tciarnoglofi i Triglav, reszty etymologowie rozgryźć nie potrafili.

Największe zainteresowanie ściągnęła na siebie nazwa Swantewit, imię głównego bóstwa Słowian zachodnich, boga bogów, któremu inne bóstwa, jak wynika z opisów, nie sięgały nawet do kolan. Swantewit wyobrażany był jako czworogłów. Był to więc drewniany kadłub, posiadający cztery głowy (twarze), osadzone na jednym karku. Oto jak opisuje kształty tego dziwacznego bóstwa kronikarz Helmold (XII wiek):

„W świątyni stał posąg ogromny, przekraczający wielkością swoją wszelki wymiar ludzkiego wzrostu i budzący podziw w skutek posiadania czterech głów i tyluż szyj; dwie głowy zwrócone były do przodu, dwie były odwrócone do tyłu. Wydawało się, że wszystkie, tak tylne jak przednie, zwracały swoją uwagę patrząc już to w lewo już to w prawo. Brody ich były przedstawione w postaci podstrzyżonej, tak że się wydawało, że zmysł artysty naśladował w kulcie pielęgnowania głowy zwyczaj Rugów. W prawicy swojej trzymał róg, wykonany z różnorakiego metalu, który kapłan, biegły w swych świętych praktykach, zwykł co roku napełniać miodem, aby ze stanu samego płynu określić naprzód zbiory przyszłego roku. Lewa ręka miała wygląd łuku, ponieważ ramię było wygięte. Suknia wykonana była w ten sposób, że sięgała do bioder, które, wykonane z innego gatunku drzewa, połączone były z nogami tak subtelnie, że miejsce złącza mogło być zauważone jedynie czułym okiem".

Malarze nasi usiłowali odtworzyć postać Swantewita na podstawie powyższego opisu. Bóstwa Słowian, jak wiadomo, były ulubionym tematem Stryjeńskiej. W jej albumie bóstw znajduje się także Swantewit, główne bóstwo Słowian zachodnich. Lepsze pojęcie o wyglądzie tego bóstwa, przynajmniej co do jego górnej części (twarze), otrzymamy przyglądając się posągowi tzw. polskiego Swantewita, znalezionego w Zbruczu i przechowywanego w Muzeum Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, przed którym, o czym Krakowianie dobrze wiedzą, modlili się o natchnienie ukraińscy malarze, którzy tam studiowali. Ale Swantewit krakowski jest z kamienia, posągi zaś, opisywane przez kronikarzy, były z drzewa, co było powodem szybkiego ich zniknięcia.

Różni różnie wyjaśniali nazwę Swantewit. Istniało jedno popularne wyjaśnienie, które podobało się większości. Swantewit, jak widzieliśmy, miał cztery twarze, z których każda patrzyła jak gdyby w inną stronę świata. Moment ten zaczęli podkreślać mądrale. Powiedzieli oni, że to nie Swantewit, ale Światowid, bóstwo, co widzi wszechświat, co wzrokiem swoim cały świat ogarnia. Wiadomo, że tą etymologią przejął się w Krakowie IKC, bo gdy w Pałacu Prasy narodził się tygodnik ilustrowany, dano mu przecież przy chrzcie imię Światowid. Pismo miało pogańską nazwę, pomimo tego nikt nie rugał wydawców za „nawrót" do pogaństwa, gdyż takich nawrotów było więcej.

Ongiś, w głębokim średniowieczu, znane było podanie, które nazwę Swantewita łączyło ze św. Witem wyprowadzając składnik Swante — z wyrazu święty „sanctus", a składnik — wit z imienia mnicha męczennika, św. Wita, patrona Rugii. Duńczyk Saxo, XIII wiek, pisze o tym w ten sposób:

„Pewna bezimienna fama głosi, że Ludwik, syn Karola Wielkiego, poświęcił kiedyś krainę Rugów błogosławionemu Witowi z Korbei, ponieważ był on fundatorem tamtejszego klasztoru. Powiadają, że kapłani, którzy wyszli stamtąd, nawrócić mieli na wiarę plemię Rugów i ufundować klasztor pod wezwaniem męczennika Wita, dla którego kultu ziemia ta była przeznaczona. Kiedy jednak Rugowie, znalazłszy się w odmiennych okolicznościach, oderwali się od świata wiary, powstało zło gorsze od poprzedniego, gdyż św. Wita, którego czcimy jako sługę Bożego, zaczęli czcić jako Boga i, wykonawszy mu bardzo wielki posąg, służyli raczej

stworzeniu niż Stwórcy. Tak bardzo wybujał u nich ten zabobon, że Swantewit, bóg krainy Rugów, zdobył pierwsze miejsce wśród wszystkich bóstw słowiańskich...“

Powyższe tłumaczenia, są, jak już powiedziałem, etymologiami laików, z którymi nie liczą się językoznawcy. Językoznawcy metodycznie zabrali się do wyjaśnienia nazwy. Jedni przyglądali się wyrazowi od przodu, drudzy od końca. Ci co od końca zaczynali, twierdzili, że wyraz — wit wyszedł z historycznej nazwy dla rycerza wiciądz i zrobili z Swantewita boga-rycerza. Aleksander Brückner wyjaśniał wyraz Swante — przymiotnikiem święty, z którym w dobie pogańskiej związane było znaczenie „mocny“, zawarte także w imionach przedchrześcijańskich Świętopełk i Świętosław, nie mających przecież nic wspólnego z pojęciem „sanctus“. Zdanie Brücknera podzielał Lubor Niederle, który pisze: „Pierwsza część wyrazu znaczy święty, ale pierwotnie prawdopodobnie znaczyła **mocny** podobnie jak słowiańskie **jaru**“. Z drugą częścią nazwy, z wyrazem — wit, Brückner nie mógł sobie dać rady i otwarcie się do tego przyznał. Podobnie Niederle, który gdzie indziej pisze: „Nazwa Swantewit prawdopodobnie jest pochodzenia słowiańskiego, chociaż do chwili obecnej nie wyjaśniono końcowego — wit“.

Nie pierwszy to wypadek, że genialni uczeni nie potrafili przegryźć się przez nazwę. Brückner i Niederle wyjaśniali, jak to przedstawiłem, językiem słowiańskim nie przypuszczając, że nazwa Swantewit pochodzi z innego gniazda językowego. Wyraz — wit, twardy orzech naszej nazwy, jest, jak stwierdziłem, prutenizmem, wyrazem bałtyckim, który znaczy „postać“ lub „postać bożka“ w języku kultowym. Mamy tu do czynienia z nazwą dla „bałwana“. Rdzeń — wit (właściwie — wid, gdyż wygłosowe —d wymawiało się bezdźwięcznie i tak zostało zapisane) występuje w zabytkach języka staropruskiego aż 12 razy (por. stpr. **aina-wid-ai** „równo“, co pochodzi od przymiotnika **aina-wid-as** „o jednej postaci“). Jeślibyśmy teraz połączyli pojęcie „postać (bożka)“, zawarte w drugim składniku nazwy, z Brücknerowym pojęciem „mocny“, zawartym w składniku pierwszym, otrzymalibyśmy znaczenie „mocna postać“ czyli „mocny bóg“. Ale sprawa ma się trochę inaczej. Nie „mocna postać“ ani „mocny bóg“, lecz „postać mocnych“ lub „bożek mocnych“, bo składnik pierwszy Swant-e- jest synonimem nazwy Lutyków, urobionej, jak wiadomo, od słowiańskiego przymiotnika **lutu** „mocny, silny, okrutny“. Wszystkie zresztą nazwy tego plemienia — a jest ich ilość znaczna — wychodzą z pojęcia „siły“ czy „męstwa“.

To też nazwa Swantewit nie jest właściwą nazwą, ale „nazwaniem“ bóstwa, podkreślającym przynależność jego do plemienia Lutyków. I nie jest ona nazwą słowiańską, jak powszechnie przypuszczano, lecz nazwą bałtycką, staropruską. Informatorami kronikarzy duńskich i niemieckich czy ich źródeł musieli być starzy Prusowie, popularni niegdyś w rejonie bałtyckim zbieracze bursztynu, z którymi rozmawiali nie tylko ludzie z północy, ale i ludzie z południa, Grecy i Rzymianie.

Bóstwo nasze miało inną nazwę. Thietmar (X wiek) nazywa Swantewita Swarożycem. Tylko ta nazwa jest rzeczywistą nazwą tego bóstwa, nazwą słowiańską, wychodzącą, jak dowodzi Brückner, z pojęcia „ogniakłótnika“, podobnie jak nazwa Swarog, którą znają Słowianie wschodni. Dowodzi ona, że Słowianie zachodni w dobie pogańskiej byli czcicielami ognia, podobnie jak Słowianie wschodni i Słowianie bałkańscy, o których pisze Prokop z Cezarei (IV wiek):

„Wierzę, że jest jeden bóg, twórca błyskawicy, i że on sam jest ponad wszystkim; ofiarują mu bydło i różnorakie świętości“.

Augustyn Steffen

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

„VIRGENCITA DE LUJAN”

Już u progu wspaniałej katedry, już na jasnych schodach ogarnia mnie ta dziwna cisza, która towarzyszyć będzie moim krokom w tej świątyni, ta cisza niepokojąca, poza którą istnieje coś, czego boję się myślą dotykać. Ale nie tylko z tym niepokojem spotkam się w świętych murach. Wyjdzie tu bowiem ku mnie naprzeciw dławiące wzruszenie, przed którym mi się próżno bronić, Bo oto już pierwsza kaplica zawieszona jest wotami tak przedziwnymi, a słowa podzięki za cuda i opiekę są tak niespotykane i rzewne, że staję przed ścianami jak przed jasną a nieznaną przestrzenią.

Patrzmy: w małej gablotce tuż przy wejściu jakaś matka zawiesiła buciczki dziecięce — jeden zdeformowany, znać że dziecko było kaleką. A przy nich karteczka z niewprawnymi literami, które tworzą słowa szczerej miłości: „Mi querida Virgencita, gratias por mi chicito, por sus piernas, gratias, — siempre tuya — Anna“: Najdroższa moja Panieneczko, dziękuję Ci za mego małego, za jego nogi, dziękuję — zawsze Twoja — Anna“.

A dalej, jakaś szczęśliwa narzeczona ofiarowała Panieneczce swój ślubny wianek i dziękuje za spełnione sny, ktoś inny zawiesza dwa skórzane palce, ktoś drugi różowe płuca z emalii, ktoś trzeci wielkie, srebrne serce. A wszędzie te napisy — takie proste, takie zadziwiające, takie, jakby Panieneczka z Lujan była kimś, kogo, się zna, do kogo zwraca się z najdrobniejszymi nawet kłopotami — zawsze w napisach tych jest Ona najdroższą i ukochaną, do Niej pisze się te proste kartki z żarliwą wiarą, że wprost Ona je przeczyta.

Kiedy tak mija się kaplice jedna za drugą i czyta się te listy i widzi te najprzeróżniejsze odznaki podzięki — ogarnia obok wzruszenia — zdumienie. Wielkie zdumienie. Bo czyż spodziewałby się kto zobaczyć jako votum dla Najśw. Panienki — bokserskie rękawice?! A tu są! Wiszą w wielkiej skrzynce. I nie jedne. Są i buty futbolisty. I maluteńki rower, i mały samochód, i śliczny, srebrny samolot.

Co to wszystko znaczy? — pyta zdziwiony Europejczyk — czy gorszyć się tym trzeba, czy wzruszać?

Lecz ja się tylko tym wzruszam, bo znam już nieco Argentynę. Ludzie tu są tacy bezpośredni, prości. Rzec można, że są po prostu spoufaleni ze świętością, że są ze świętymi zapanbrat. Miasta tu noszą nazwy: San Pedrito — Święty Piotruś, a cukiernie San Jose — (św. Józef) i Santa Rosa — (św. Róża), a tu, w Lujan widziałam na rzece motorówkę z napisem „Virgencita de Lujan“: Panieneczka z Lujan.

Wyobraźmy sobie, że ktoś nazywałby w Polsce łódź „Matka Boska Częstochowska“. Byłaby to prawie profanacja. I jakże niewłaściwe byłoby jako votum — bokserskie rękawice! — A tu w katedrze w Lujan wiszą sobie owe rękawice na chwałę Panieneczki. Którą kochają sportowcy.

Na chwałę Panieneczki marynarze zawieszają swe naramienniki i nawet swe fotografie i malutkie, zgrabne okręty. Pod opiekę oddaje się Jej całe wojsko i na cudownej statuetce zawieszono insygnia generalskie. Dziw! Jest Panieneczka — „Generala de los Ejercitos“! (Komendantka wojsk).

Rolnicy dziękują Jej za pomyślne zbiory i przynoszą kłosy pszenicy, wonną „yerba mate“ i piękne, zdrowe ziarno. Uczennice dzękują za egzaminy, pisząc żarliwe wiersze na Jej cześć.

Tak w licznych kaplicach, z których każda odpowiada jednemu wezwaniu Litanii Loretańskiej, przesuwa się przed zdumionymi oczyma argentyńska chwała Najświętszej Pani. Największą wymowę ma jednak kaplica, na której ścianach rozpięte są drewniane kule uzdrowionych. Tu spotyka się człowiek z namacalnym faktem cudu; oto kaleka wstał, poszedł o własnych siłach i zostawił drewniane szczudła.

Litery słów Litanii Loretańskiej zrobione są całe ze srebrnych vot. Na taką literę składa się więc moc drobnych nóg, rąk i serc. Opasują swym srebrnym podziękowaniem wszystkie kaplice — zliczyć ich niepodobna.

Gdy tak pełna podziwu, oszołomiona wprost ilością i treścią vot, idę ku głównemu ołtarzowi, gdzie znaleźć mam cudowną Panienkę — wzrok spotyka się jakby z kontrastem tego wszystkiego, co widział przedtem: Cudowna Panienka jest maluteńką figurką z terrakoty, w niebieskim płaszczu z promienistą koroną na głowie. Stoi na srebrnym wzniesieniu wśród świateł i kwiatów, wydaje się przeto jeszcze mniejsza i zupełnie cichutka.

Spływają ku Niej z balkonów sztandary wielu państw. Zapewne wiszą tu oddawna, od przedwojny — znajduję z radością sztandar polski z orłem w koronie, angielski Union Jack, gwiaździsty amerykański, włoski królewski, rumuński królewski, węgierski, sztandary wszystkich państw Ameryki Południowej i wiele innych.

Tak patrzę na te sztandary, aby siebie oszukać. Tylko raz bowiem ukradkiem spojrzałam na Panienkę i oczy mam pełne łez. I mówię sobie tak: Nic nie powiem maluteńkiej Panience, bo Ona wie z czym tu przyszłam. Nic Jej nie powiem, bo się zaraz ogromnie rozpłaczę. Więc żeby mi łzy nie płynęły po twarzy wznoszę oczy ku owym sztandarom. Patrzę na polski sztandar, a Maluteńka Panienka już wszystko wie. A czy zawieszę Jej votum na ścianie katedry, votum z gorejącego serca? — Ach, Panieneczko śliczna, zawieszę chyba — w Częstochowie?...

A co mówi historia o cudownym obrazie?

Oto w r. 1630 pewien Portugalczyk z Tucuman pragnął wznieść kaplicę ku czci Królowej niebios. Prosił swego przyjaciela w Brazylii o przysłanie mu odpowiedniego obrazu. Przyjaciel przesłał mu dwie figurki z terrakoty: jedną — Matka Boska Pocieszenia i drugą — Niepokalane Poczęcie. Figurki odbywały długą drogę morską na statku „Estrella del mar“, który przybił do portu Santa Maria de Buenos Aires. Stąd zabrała je karawana, jadąca do Tucuman, celem przekazania właścicielowi. Po trzech dniach drogi zarządzono postój. Następnego dnia, gdy dojechano w pobliże rzeki Lujan, zwierzęta ciągnące wozy zatrzymały się nagle i nic nie mogło ich zmusić do dalszej drogi. Zmarnowano w ten sposób cały dzień, sądząc, że woły są zmęczone. Na drugi dzień powtórzyło się to samo: zwierzęta pozostawały nieruchome, głuche na bicie i krzyki. Przywódca karawany był zrozpaczony. Wtedy pewien niewolnik — murzyn Manuel rzekł:

Panie, zdejmijmy z wozu jedną z tych małych skrzynek, może one są tak ciężkie, że woły nie mogą ruszyć z miejsca.

Wszyscy się roześmieli, lecz murzyn Manuel zdjął małą skrzynkę i wóz momentalnie ruszył, a za nim inne. Nie wszyscy wiedzieli, co się w skrzynce znajdowało, a gdy po otwarciu oczom ich ukazała się malutka figurka Matki Boskiej — upadli na kolana. Była to ta sama figurka z terrakoty, która dziś stoi wśród świateł i kwiatów w katedrze w Lujan.

Pierwsza Jej kaplica wznosiła się w głuchym polu, w samotnym domku Don Rosendo. Murzyn Manuel został Jej pierwszym czcicielem i całą duszą poświęcił się Jej służbie. Wkrótce poczęły się dziać cuda. Historia mówi o wielu cudownych uzdrowieniach i ocaleniach misjonarzy wśród walk z Indianami. Najsławniejszym z nich jest uzdrowienie prezbitra Don Pedro de Montelbo w r. 1682, który z wdzięczności obiecuje wystawić Matce Niepokalanej okazalszą kaplicę. Przy pomocy rządu kaplica ta rzeczywiście zostaje wybudowana już w trzy lata później. W r. 1763 przenoszą cudowną figurkę już do kościoła poświęconego Jej czci, a dopiero w roku 1930 — czyli w trzechsetlecie Jej pojawienia się na argentyńskiej ziemi — zostaje ukończona wspaniała katedra w Lujan, gdzie Najświętsza Pani jest czczona obecnie.

Jest bardzo charakterystyczny kult, jaki dla Panienki z Lujan miało wojsko argentyńskie, od pierwszych okresów jego tworzenia i walk o niepodległość. Pod Jej opiekę ofiarowuje swe szeregi w r. 1810 generał Belgrano, a w r. 1818 dziękuje Najświętszej Pani za swe zwycięstwa, w walce o wyzwolenie Argentyny spod hiszpańskiego panowania, największy jej bohater — generał Jose de San Martin. Idąc w ślady swych bohaterskich dowódców — wojsko obecnej Argentyny czci Panią z Lujan, która jest nie tylko jego patronką ale i Generałem. Pani z Lujan jest czczona również przez ludność Paragwaju i Urugwaju i jest jej patronką. W katedrze lujańskiej znajduje się piękna tablica wmurowana przez pielgrzymów tych państw z okazji trzechsetlecia Cudownej Panienki oraz stulecia konstytucji urugwajskiej, proklamująca Madonnę z Lujan „Patrona de la Patria“. Wśród innych pamiątkowych tablic zwraca uwagę tablica pielgrzymów włoskich i irlandzkich.

Bardzo ciekawy i charakterystyczny dla Argentyny jest fakt, że w maju 1944 r. wyszedł specjalny dekret Prezydenta mianujący Madonnę z Lujan Patronką Dróg Narodowych (Patrona de las Rutas Nacionales) na wniosek Ministra Robót Publicznych. Niemniej ciekawe są motywy tego dekretu, a mianowicie to, że Madonna ukazała się karawanie na argentyńskiej drodze i że chroniła marsze argentyńskich żołnierzy wolności.

Madonna de Lujan była natchnieniem wielu argentyńskich poetów i wśród ich utworów można znaleźć strofy naprawdę piękne. Do takich należy „La Virgen Maria y la Creacion“ Deimiles'a, oraz oficjalny hymn — „Himno a la Virgen dè Lujan“, w którym Argentyna oddaje się pod opiekę Panience prosząc o pokój.

Bardzo łaskawą musi być Panienka z Lujan dla swego ludu, bo obdarza Argentynę tym pokojem od lat 133 i zsyła mu wiele pięknych łask. Gdy myślę o mojej ojczyźnie i gdy te 133 lata zestawiam z losem mej Ziemi — ogarnia mnie ciężki smutek.

Nie wiem — czy trzeba tak jak Argentyńczycy, uczynić Najświętszą Panienkę powierniczką drobnych, codziennych spraw, czy trzeba tak Ją pokochać, aby Ją uważać za ogromnie bliską Istotę jak oni — czy trzeba Jej dziękować (jak ów bokser rękawicami za wygrany mecz) za każdą chwilę dnia — aby wyjednała pokój dla Polski?

Najświętsza Pani w Europie płacze. Co dnia obraża ją i dręczy Europa. Panienka z Lujan ma śliczną, pogodną twarz. Lecz — nie mnie Cię rozumieć, Panienko. Nie mnie — Ciebie pytać dlaczego ten obcy kraj jest szczęśliwszy od mego.

Prosić Cię mogę tylko, Częstochowska, bym gorejące swe serce złożyła u stóp Twego najpiękniejszego na świecie obrazu. I te lata, które nas przygniatają, te lata złe — od nas odwróć.

Józefa Radzymińska

ODSZEDŁ NA WIOSNĘ

Gdy w Wielką Sobotę powiedziano mi o nagłej śmierci śp. Anatola Krakowieckiego — przyjaciela, którego gołębie serce krzepiło mnie nieraz słodyczą szorstkiej miłości —, opadły mnie, jak to bywa, buntownicze refleksje.

Umarł człowiek u progu powodzenia, pożyteczny pracownik, potrzebny już nie w podjazdach i przedbitewnych harcach, ale wchodzący właśnie z bronią w pierwsze szeregi walki; pisarz, który wyciągał rękę po napój zasłużonego oddźwięku, popularności, a zarazem po warsztat dobrej, spokojnej pracy. Odszedł Krakowiecki podejmowany przed tygodniem w Paryżu i Brukseli, podpisujący kontrakty na zagraniczne wydania, a został legion „pechowców“ bez szans właściwej twórczości, rozbitków, inwalidów wojennych pióra.

Czyż ja sam, przechodząc niedawno chorobę, nie myślałem w gorączce, że dobrze i słusznie byłoby odejść, skoro nie czyni się dzieła, gdy nie można być cnotliwym artystą słowa? I potem, już po śmierci Anatola gnębiła mnie myśl uparta: „czemu on, a nie ja — ciągły kandydat na twórcę, czepiający się resztek nadziei, ostatków sensu bezsensownych wysiłków?“

Wypaliły się czarne myśli, wiosna rozwiała popiół. Idąc na pogrzeb Krakowieckiego spotykałem na każdym zakręcie kwitnące drzewa migdałowe, jabłonie i pączkujące brzozy. Cmentarz Kensingtoński na Acton powitał mnie wiosenną radością swych zielonych trawników. Jakieś różowe drzewa patrzyły na trumnę, na dół wykopany, na ludzi garść niemałą; słuchały pogrzebowych przemówień: Halucha — od skazańców, Bogusławskiego — prezesa, Nowakowskiego z Krakowa, Ciołkosza — socjalisty i księdza Wróbla — kolegi szkolnego „chłopca ze Skawiny“, jak lubił nazywać siebie Anatol. Nie potrafię powtórzyć tych mów żałobnych — darujcie, nie przywiązuję wagi do tego, co mówią o zmarłych na uroczystych pochówkach. Myślałem o czym innym.

Snułem powracającą od lat, coraz bardziej swojską i wrastająca we mnie myśl o życiu jako zadaniu: zawsze spełnionym, zawsze zamkniętym pieczęcią śmierci, co obcina niepotrzebne dodatki — frendzelki psujące wyraz całości, a może, kto to wie, chroni od nieszczęść, albo upadków. Może ta śmierć nie była jednak okrutna? Ten człowiek spełnił swoje zadanie: wydał swój *opus magnum*, w którym widocznie musiał się streścić sens życia. Nie dla niego były widać owoce: nie lubił przecież pieniędzy, nie potrafił ich zbijać i ciułać — umiał tylko wydawać, a także pożyczać biedniejszym (a czasem bogatszym) od siebie.

Rozgarniałem pamięcią słowa książki o rzece dalekiej wśród śniegów: książki prostej, szczerej — jakże dojrzałej i bezpretensjonalnej w porównaniu z niektórymi poprzednimi utworami zmarłego. Tak przemawia człowiek, który nie kłamie i nie kokietuje nikogo: penitent na generalnej spowiedzi, odchodzący — na łożu śmierci.

Wiosenny pogrzeb Anatola nie wydał mi się smutny. Wracałem z niego do swej głupawej roboty z głębokim przeświadczeniem, że oto Pan zwolnił spracowanego robotnika — pozwolił mu oderwać się od brzydkiej, próżnej szczęścia dziedziny: wziął go do winnicy prawdziwej, do spokoju i łagodnego światła, co nie oślepia, do dobroci, która nie zmienia się w kamień, do miłości obejmującej wszystko, nie zatrutej zawiścią i wzgardą.

I jeszcze jedna pociecha pozostała mi po tym chwilowym rozstaniu z przyjacielem i towarzyszem cechowym: pokrzepienie dla mnie, dla wszystkich nieodprawionych jeszcze, skazanych na dalszą tułaczkę: — trzeba żyć, bo zadanie nie spełnione, bo sens życia — tajemniczy, niepojęty, niepewny — jeszcze przed nami. Może uda się jeszcze coś zrobić i umrzeć jak On — na wiosnę.

St. Pałęcki.

ROK II | ŻYCIE AKADEMICKIE | NR. 5 (13)

O NAS SAMYCH

ZMORĄ działaczy społecznych na emigracji — a w naszym akademickim życiu może szczególnie — jest bierna obojętność ludzi, dla których jednostki wiele nieraz swego wysiłku poświęcają.

Kto się z tym zetknął, ten zrozumie okrzyk rozpaczy jednego z naszych prezesów po jakimś-tam zebraniu:

— Dlaczego oni nawet nie kłócą się ze mną? Dlaczego nikt nie otworzy ust?!

Kłótnia, dyskusja, różnica zdań to przecież nic innego, jak wyraz przejęcia się sprawą. I nasz prezes nie będzie czuł, że jego praca idzie w próżnię. Będzie wiedział, że „coś" wywołuje, że otaczają go ludzie, których to wszystko obchodzi.

Również i nasza praca redakcyjna nie mogła uniknąć tego doświadczenia. Już drugi rok wydaje nam się, że słowa zebrane w artykuły lecą gdzieś z wiatrem... w pustkę. Naprawdę „Życie Akademickie" nie dostrzegało życia akademickiego wokół siebie. Nie mogło dostrzec, bo materiały, który przychodziły na stolik redakcyjny, dalekie były od możności wykazania, że żyjemy, a nie wegetujemy.

„Życie, czy wegetacja?" — pyta kol. Ujejski. I my tak pytamy każdym nieomal artykułem. List kol. Ujejskiego, choć ujęty w formę pytania, jest właśnie odpowiedzią: Życie. Szkoda tylko, że autor nie wychodzi poza dobrą radę: zrobić to, zrobić tamto! Zgoda. Pamiętajmy jednak, że redakcja czeka na materiał od Was, Koledzy! Na felieton, na reportaż, na zabawną historyjkę, a nie tylko na suche, konwencjonalne sprawozdanie, wyduszone okólnikiem organizacji, czy górny „intelektualny" artykuł.

„Życie Akademickie" ma być pismem Waszym, a nie dla Was. A to od Was wszystkich zależy.

wpo.

LIST Z FRANCJI

O WARUNKACH ŻYCIA I STUDIÓW

MOMENTEM przełomowym w życiu polskiej młodzieży w Paryżu był rok 1948. W roku tym z jednej strony została oczyszczona atmosfera organizacyjna, z drugiej — zlikwidowany został dom studencki.

Życie organizacyjne braci studenckiej skupia się w Stowarzyszeniu Studentów Polskich (SSP). Początkowo stosunki w tym stowarzyszeniu nie były zdrowe. Należała doń zarówno młodzież o wyraźnym obliczu ideowym, jak i różnego rodzaju odpadki warszawskie. Niestety stan ten trwał dość długo, na tyle długo w każdym razie, że zainteresowały się tym władze francuskie. W roku 1948 związek został zamknięty, a władze jego dostały ultimatum: albo oczyszczenie z elementów moskiewskich, albo zamknięcie na stałe. Warunki francuskie zostały przyjęte. Od tego czasu Stowarzyszenie stoi twardo na gruncie niepodległości, skupiając się przy legalnych władzach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, domagając się odbudowania Polski z granicami z roku 1921 na wschodzie i z granicami Odry i Nysy na zachodzie. Obecnie już nie do pomyślenia byłby fakt, jak to miało miejsce w 1947 roku, by w tym samym piśmie zamieszczał artykuł członek Centralnego Komitetu Studiów i agent okupacji rosyjskiej.

Faktem bardzo przykrym było zlikwidowanie domu studenckiego w Maison - Alford. Mimo różnych zarzutów, jakie można postawić administracji tego domu, był to jednak punkt oparcia dla najbiedniejszych studenów. Obecnie część tego domu przejęło IRO, druga zaś część została wynajęta na prywatny zakład krawiecki.

Warunki materialne w Paryżu są ciężkie, stypendium francuskie, z którego na szczęście korzysta większa część studentów polskich, wynosi 10.000 franków, stypendium polskie natomiast 8.000 franków. Wynikiem tych warunków jest gruźlica, szerząca się w strasznym stopniu wśród uczącej się młodzieży. Dotychczasową polityką odpowiedzialnych czynników polskich była zasada: jak najwięcej stypendiów — nawet kosztem ich wysokości. Obecnie ukazują się skutki. Młody kandydat na przyszłego inżyniera, czy lekarza miał do wyboru: albo zdany egzamin razem z gruźlicą, albo pracę zarobkową. Do tego dochodził fakt przydzielania stypendiów bez udziału przedstawicieli studentów. Ci ostatni nie potrafili jeszcze do tej pory przeprowadzić swego postulatu dwuosobowej delegacji przy tych decyzjach. Jest nadzieja, że obecny zarząd, wybrany w lutym pod hasłem usunięcia partyjnictwa z życia społecznego, wymusi nareszcie przeprowadzenie tego żądania.

Jasnym punktem jest kierunek studiów. Prawie wszyscy wybrali przedmioty realne i gwarantujące szybkie znalezienie pracy. Dużo w tym względzie uczyniła polityka polskich czynników. Oczywiście, gdy mowa o pracy, należy mieć na myśli dalszy wyjazd. We Francji dla cudzoziemców, nawet z miejscowym dyplomem, trudno jest o lepiej płatne posady.

Stanisław Bóbr-Tylingo.

WIADOMOŚCI

AKCJA POMOCOWA. W ubiegłym miesiącu Z.S.P.Z. przekazał £ 200 i kilkanaście kocy kolegom we Włoszech. Pozwoli to na doraźne zaspokojenie najpilniejszych potrzeb. Przesyłka ta jest drugą tego rodzaju. Pierwsza przeznaczona była dla kolegów we Francji i umożliwiła kontynuowanie stołówki dla najbiedniejszych kolegów.

W Wielkiej Brytanii dokłada się starań aby w Akcji Pomocowej wzięli udział wszyscy studenci a także starsze pokolenie. Jest to jednym z głównych celów Miesiąca Akademika.

Z radością notujemy, że do Akcji Pomocowej przystępują spontanicznie nawet niezorganizowane ośrodki; — ostatnio zgłosili swój akces koledzy z Liverpool. (gro).

IMPREZY. W ramach Miesiąca Akademika chór Polskiego Towarzystwa Śpiewaczego (rozszerzony Chór Akademicki) urządził koncert. Spotkał się on z bardzo przychylnymi krytykami w prasie a dla słuchaczy był dużym przeżyciem artystycznym. Następny „Wieczór Pieśni" Chóru odbył się w dniu 11 kwietnia (po).

Imprezą budzącą duże zainteresowanie były przygotowywane przez A.Z.S. akademickie mistrzostwa sportowe. Odbyły się one w połowie kwietnia. (gro).

BIULETYN A.Z.S. Witamy drugi numer biuletynu A.Z.S. i życzymy dalszego rozwoju temu jeszcze jednemu przejawowi pięknej działalności kolegów-sportowców. (dz).

Z IRLANDII. W Dublinie studiuje 75 studentów polskich. Korzystają oni ze stypendiów Komitetu Oświaty. Przedmiotem studiów jest głównie medycyna. Życie społeczne ośrodka skupia się w ramach trzech organizacji: Z.S.P.Z., S.P.K. i P.K.S.U. „Veritas", które powołały wspólny Komitet Kulturalny i pochwalić się mogą żywą działalnością. Studenci dublińscy biorą czynny udział w Akcji Pomocowej. (jw).

ODNOWIENIE ŚLUBOWAŃ AKADEMICKICH

W niedzielę Zielonych Świąt, dnia 28 maja, wyrusza z Londynu Pielgrzymka do Walsingham zorganizowana **przez Komitet Akademicki Pielgrzymek Maryjnych. Pielgrzymi odnowią śluby akademickie, oraz złożą votum — kopię ryngrafu ofiarowanego w roku 1936 na Jasnej Górze.** (gro).

Z PRAC I DOŚWIADCZEŃ

KOŁO GUILDFORD ZACZYNA RACZKOWAĆ

PARĘ dni temu widziałem najwyraźniej, jak duch mego szefa kompanii, ze złowróżbnym: „Porzundek musi być!" przesunął się opasłym cieniem przez korytarze Guildford Technical College and School of Arts. Cień wrócił do nadadriatyckiego grobu, a ja, ze społecznym kłopotem na antyspołecznej (słowa mych przełożonych) głowie, stałem dalej w korytarzu uczelni zastanawiając się, jakby tu szybko i tanim kosztem wymigać się od obowiązku, w myśl najlepszych, w wojsku nabytych doświadczeń.

— Co ma piernik do wiatraka? — ktoś zapyta. Czyli, co ma wojsko do School of Arts, dwie rzeczy biegunowo różne?

Ano, widocznie ma.

Mój przyjaciel, a w chwilach oficjalnych Prezes Zrzeszenia Studentów Polskich Zagranicą — Koło Guildford, ustroiwszy się w najbardziej oficjalną minę, oznajmił mi co następuje: „Wczoraj byłem w Centrali. Centrala chce mieć sprawozdanie z działalności naszego Koła do jednodniówki. Sprawozdanie napiszesz ty, nie później niż w niedzielę, tak, aby ONI mieli to 13".

Właśnie w tym momencie zobaczyłem zjawę mego szefa, plac ćwiczeń i cierniową drogę służbową, którą rozkaz pana generała zlatywał na wygolony, rekrucki łeb. Niby rekrut wyskandowałem więc tylko „Tak jest", czym przypieczętowałem swój los wcale zresztą niemądrze. Wyglądało to tak, iakby nieboszczyk pieczętował własną trumnę. Spodziewałem się usłyszeć coś w rodzaju: „W imieniu Sprawy dziękuję". Niestety p. Prezes wiał wzdłuż korytarza, ile sił w nogach, w obawie, abym odzyskawszy świadomość nie rozmyślił się. Od tego momentu już go nie widziałem.

Przeczytałem, szukając wzoru, setkę sprawozdań różnych Kół ....anckich, ...ycznych, ...ickich i innych. Każde rozpoczyna się niezmiennie: „Koło XYZ Nr. 1234 (conajmniej cztery cyfry) rozwinęło w ostatnim okresie bardzo ożywioną działalność..." Dalej oczywiście były wymienione wszystkie pola, niwy, łąki i ugory owej działalności, wzmianka o podwojeniu ilości członków (z 1 do 2 zazwyczaj) i pół strony rewolucyjnych planów oraz optymistycznych nadziei na przyszłość. Jakoś mi nic z tego, poza szeroko-głębokim planowaniem, nie zaimponowało, a równocześnie nie podsunęło niczego, czym starałbym się, chociażby, pochwalić w imieniu naszego Koła.

A podobno Koło nasze jest na drugim miejscu z kół prowincjonalnych Zrzeszenia. Jeśli są w ogóle dwa takie prowincjonalne Koła, no to zgoda, ale, jeśli więcej, to co decyduje o tym zaszczytnym miejscu? Chyba nie ilość członków, bowiem jest ich raptem 34, tylu ilu Polaków studiujących w Guildford. Przypuszczam, że nie wysokość kwot zbieranych co miesiąc na pomoc kolegom w Niemczech, która kręci się około 4 funtów. Może aktywność Koła? Tylko w jakiej dziedzinie? Prawdopodobnie jednomyślnej chęci jaknajszybszego zakończenia każdego zebrania. To jest ważne i pożyteczne. Przyzwyczaja do tępienia gadulstwa i zabezpiecza przed przysłowiowym rozcinaniem włosa na czworo, jak też oszczędza drogi czas i nerwy obecnych.

Koło posiada skarbnicę wiedzy duchowej w postaci biblioteczki liczącej około 300 książek, która powiększy się w tym tygodniu o dalszych 400. Zasługa leży jednak po stronie likwidatorów obozu wojskowego w Witley, skąd odziedziczyliśmy również odrobinę sprzętu sportowego, dzięki odpowiednim znajomościom. Stare, kochane „po znajomości" przedstawia de facto to, o czym w oficjalnych sprawozdaniach pisze się zazwyczaj: „...nawiązaliśmy współpracę z bratnimi organizacjami: SPK, YMCA, ZHP (Związek Hodowców Pieczarek) itp. Największą bolączką jest brak jakiegokolwiek kąta, w którym możnaby było umieścić biblioteczkę i rozwiesić paręnaście obrazków ofiarowanych przez poczciwą „ciocię Ymcię". a ukazujących najmłodszym kolegom, że polska architektura i styl życia przypominają raczej Luksemburg, niżeli Republikę Zewnętrznej Mongolii. Gdyby jeszcze w zaciszu takiego kąta można było zebrać trzydzieści osób na jakiś wieczorek muzyki, śpiewu, tańca, lub innego hałaśliwego „krzywienia kultury", nasze najśmielsze nadzieje w pierwszym roku po urodzeniu Koła byłyby spełnione.

Sportowcy występują w barwach Students Union'u naszej uczelni, zapisując plusy i minusy każdy na swoim indywidualnym koncie. Klub siatkówki, stworzony przez Polaków z anglelskim narybkiem, mieści się w ramach organizacji sportowej College'u. Gdzieś tam, ostatnio, poczęła aremicznie kiełkować myśl założenia komórki AZS. Jest jedno tylko „za": — reprezentowanie sportu polskiego grupowo. Przeszkód jest natomiast wiele, natury finansowo technicznej, które, niestety, zazwyczaj kładą każdy zacny (rzadziej niecny) zamiar.

Students Union jest bardzo przychylnie ustosunkowany do kolegów Polaków, jeśli wszystko, co czynią, odbywa się w ramach tegoż Unionu. Zgroza natychmiast jednak ogarnia monopolistycznie nastawiony Komitet Studencki, gdy grupa polska chce coś organizować na własną rękę, korzystając z boisk, sprzętu, czy innych udogodnień Students Union'u. To też, jak dotychczas na terenie uczelni, tak zwane „dobre imię naszego Kraju" jest podtrzymywane (szerzone — to byłoby już przesadzone określenie) indywidualnie przez każdego studenta Polaka w miarę jego zainteresowań, możliwości, talentów i, rzecz najważniejsza, ochoty. Przeważa zamiłowanie do słodkiej bierności.

Koledzy, przeważnie z drugiego roku, którzy zdążyli lepiej poznać „teren" zaangażowani są w „kultywowaniu wiedzy" o Polsce w ramach international Club. Organizacja ta skupia przedstawicieli czternastu narodowości od Burmeńczyków do Szwajcarów, Holendrów i Francuzów na terenie miasta. Grupa polska, opierając się na studentach, zorganizowała 16 marca „Wieczór Polski", przy udziale zaproszonych, „po znajomości", przedstawicieli świata sztuki z Londynu. Impreza ta była niedochodowa. w myśl reguł sprawozdawczych należałoby ją tedy nazwać „propagandową".

Coś podobnego, lecz o przyjemniejszym, bo na dochód obliczonym efekcie, miało zamiar urządzić nasze Koło. Brak gotówki związany z niemowlęcym wiekiem Koła, oraz brak lokalu na próby i przygotowania pokonały, najlepsze, w tym wypadku, chęci. Dlaczego piszę, o tej nieudanej zresztą, próbie? Był to bowiem rzadki moment, gdy większość członków Koła ofiarowała swą współpracę. Przyczyną tego był jasny, realny, życiowy cel: — Zebrać pieniądze dla dopomożenia najbardziej potrzebującym kolegom studentom w Niemczech. Jak z powyższego wynika, „Vox populi" ma „za psi pazur" wszelkie abstrakcyjne hasła, podniety i przedsięwzięcia obarczone tym, czy innym przymiotnikiem w rodzaju: „Krzewienie ducha narodowego" lub „Zacieśnienie łączności „braterskiej". W naszym Kole najbardziej atrakcyjnym celem całej działalności wydaje się być: — Pomoc dobrym, choć nieznanym kolegom w bardzo złej doli. Przepraszamy, że tak niewiele zrobiliśmy w tym kierunku. Postaramy się poprawić.

B.J.D.

LIST DO REDAKCJI

ŻYCIE CZY WEGETACJA?

Do Redakcji „Życia Akademickiego".

Jeden z ostatnich numerów Życia Akademickiego zawierał zaledwie trzy artykuły. Były one poważne i może nawet za „intelektualne", ale ciężkie i z życiem akademickim prawie nic wspólnego nie miały. Do głębszej krytyki nie mam prawa, ponieważ nie doczytałem ich do końca.

„Życie Akademickie" jest organem Z.S.P.Z., zatem jako członkowie tej organizacji mamy prawo decydowania o jego kierunku. Możemy to robić przez pisanie artykułów. O to też apelowano w Klubie, apelowano na zebraniach, apelowano w szkole i przy każdej innej sposobności. W końcu skorupa bierności powinna pęknąć. Podobno wpłynęło dużo artykułów — za dużo nawet, gdyż nie zostały wydrukowane? A przecież „Życie Akademickie" powinno być polem do literackiego wyżycia się dla szerokich mas studenckich; powinno zaspokoić żądzę przeczytania własnego podpisu na łamach prasy.

W założeniu „Życie Akademickie" ma spełniać rolę listu informującego o życiu wewnętrznym naszej rodziny akademickiej. Tak samo jak w życiu prywatnym przejmujemy się chorobą Cioci Ewy i romansem Kuzyna Janka, w „Życiu Akademickim" z zainteresowaniem dowiadujemy się, że w Nopass College z dziesięciu Polaków zdał tylko jeden, że Koło Marrytą zostało rozwiązane z powodu małżeństwa prezesa, że decyzją władz uniwersyteckich w Ghetto College wykłady będą się odbywały po polsku i Anglicy zmuszani są do nauki naszego języka, że Kółko Matematyków urządziło wieczorek literacki, na którym śpiewano kolędy, że pod skrzydłami ‚Orła" jest zimno i krótko... itp... itp...

Lecz w liście do rodziny nie tylko donosimy o śmierci cioci Ewy i rozwodzie Janka. Staramy się również przedstawić nasze poglądy. Podobnie w „Życiu Akademickim" możemy się zwierzać z naszych poglądów, poddając je pod krytykę ogółu. Polemika porusza umysły, zmusza je do myślenia, a czasem i do akcji. Może rozbudzi „Życie Akademickie". Już jest późno.

Jednym z pomysłów zupełnie przez redakcję niewykorzystanych są humorystyczne felietony. Nawet słaby felieton jest interesujący, a dobry bywa bardziej pouczający niż dzieło naukowe. Satyra bowiem jest ostrą bronią. Ileż humoru wniesie urojona postać np. kolegi Niezdalskiego, który idzie na zebranie W.Z.B. lub do Klubu Akademickiego poczem naiwnie opisuje swoje przeżycia. Prócz codziennego „co pisze Zbyszewski" będziemy zapytywać czy Niezdalski ma jeszcze stypendium.

Musimy dołożyć wszelkich starań, ażeby „Życie Akademickie" rzeczywiście świadczyło o żywotności organizacji. A „Życie Akademickie" dotychczas niesłusznie stara się udowodnić, że Z.S.P.Z. wegetuje.

T. Ujejski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

TITO PRZEŚLADUJE KOŚCIÓŁ KATOLICKI

W roku 1949 komunistyczne sądy w Jugosławii skazały 96 duchownych. Cyfra te nie obejmuje księży „zaginionych bez śladu". Na pewno wykonano pięć wyroków śmierci. Pozostali księża otrzymali kary długoletniego więzienia. W chwili obecnej w więzieniach jugosławiańskich znajduje się 400 księży katolickich, w tym 2 biskupów i 2 administratorów apostolskich.

ILU KSIĘŻY ZABILI W LATACH 1936 — 1939 HISZPAŃSCY KOMUNIŚCI?

Pismo „Ecclesia" donosi, że wśród ponad 7.000 księży i zakonników, którzy ponieśli śmierć męczeńską w czasie wojny domowej w Hiszpanii, nie było ani jednego odstępcy. Jeszcze dziś dają się odczuwać w Hiszpanii straty kleru hiszpańskiego oraz spadek nowych powołań podczas wojny domowej. Podczas gdy w r. 1930 Hiszpania miała jeszcze 31.345 księży (jeden ksiądz na 752 wiernych), w r. 1949 było tylko 24.987 księży jeden na 1.090 wiernych). W wojnie domowej zamordowano 7 biskupów oraz 7,937 księży i zakonników.

Trzeba zresztą stwierdzić, że w ostatnich paru latach zaznacza się w Hiszpanii wybitny wzrost liczby powołań.

RELIGIJNOŚĆ USA W CYFRACH

Jak podaje paryska „La Croix", na 130 milionów mieszkańców Stanów Zjednocz. tylko 40 milionów rzeczywiście wyznaje jakąś religię; reszta, to ludzie religijnie obojętni i spoganiali, — w najlepszym razie ochrzczeni w dzieciństwie eks-chrześcijanie. Z tych 40 milionów wierzących — 26.716.343 to katolicy. Co piąty Amerykanin jest katolikiem. W roku 1948 nawróciło się na katolicyzm 117.130 Amerykanów, a liczba katolików wzrosła, łącznie, przez nawrócenia i przyrost naturalny, o 642.646 dusz. Kościół katolicki ma w Ameryce 4 kardynałów, 20 arcybiskupów, 157 biskupów, 42.334 księży, 7.302 zakonników. 141.606 zakonnic. 600 zakonników - trapistów, 3.500 misjonarzy. Ciekawą cechą katolicyzmu amerykańskiego jest, że skupia się on głównie w miastach. Pochodzi to stąd, że katolicy amerykańscy, to głównie niedawni przybysze z Europy lub ich potomstwo, — Irlandczycy, Polacy, Włosi, Niemcy, Słowacy, Litwini itd., — którzy przybyli do Ameryki jako imigranci - robotnicy i w miastach osiadali. 44 proc. katolików amerykańskich to robotnicy, 20 proc — klasa średnia, 19 proc. — kupcy, 17 proc — rolnicy.

Wśród 285.000 amerykańskich Indian, 93.335 to katolicy.

KOŚCIÓŁ NA CEJLONIE

Nowe dominium brytyjskie, Cejlon, ma 6.433.000 mieszkańców, z czego 482.000 katolików. Kler liczy 388 osób: 242 tubylczych i 146 obcych. 101 tysięcy dzieci uczy się w 685 szkołach katolickich. W szpitalach katolickich w r. 1949 otrzymało pomoc lekarską 374 tysiące chorych.

W KATEDRZE WESTMINSTERSKIEJ

MSZA ŚW. NA INTENCJĘ POLSKI

W niedzielę dnia 30 kwietnia o g. 10.30 odbędzie się w katedrze Westminsterskiej w Londynie staraniem Catholic Council for Polish Welfare MSZA ŚWIĘTA W INTENCJI POLSKI. Na Mszy św. będą obecni: Pan Prezydent R. P,. August Zaleski, członkowie Rządu, przedstawiciele dyplomatyczni państw nie uznających reżimu warszawskiego .

W przeddzień święta Królowej Polski, we wtorek dnia 2 maja w Chelsea Town Hall o g. 7 wieczorem odbędzie się zebranie publiczne pod przewodnictwem Sir Ronalda Storrs, K.C.M.G. Mówcami będą Harold Macmillan i ambasador Raczyński.

C. C. for Polish Welfare rozesłała z tej okazji Komunikat, w którym zachęca katolików brytyjskich, aby łączyli się ze swymi polskimi przyjaciółmi w modlitwach za Polskę w dzisiejszym czasie tej próby.

POWIEŚĆ JĘDRZEJA GIERTYCHA

Do poprzedniego nr. ŻYCIA dołączyliśmy ulotkę znanego publicysty Jędrzeja Giertycha, polecając ją serdecznej uwadze naszych Czytelników.

Jędrzej Giertych napisał obszerną powieść, poświęconą Polsce i jej życiu między obu wojnami. Pisał ją kilka lat. A nawet wiele lat, bo była już raz napisana w nieprawdopodobnie trudnych warunkach życia obozowego, rękopis jej jednak spalił się w Warszawie. J. Giertych napisał ją po raz drugi, nie wiadomo, czy nie w cięższych jeszcze okolicznościach, na emigracji. Pisana była naprzemian z jego innymi książkami, które wychodziły w międzyczasie, z „Polityką Polski w dziejach Europy", „Pięćdziesięciu latami polityki polskiej" i innymi, z drugim, nieogłoszonym dotąd tomem „Polityki Polski", na tle obfitej pracy publicystycznej w różnych pismach emigracyjnych etc., wśród trosk i wysiłków zapewnienia utrzymania licznej rodzinie pracą fizyczną: Ten znany pisarz był pomocnikiem rymarza, zmywaczem kotłów u Lyonsa, a teraz jest robotnikiem w piekarni. Kiedy i jak Jędrzej Giertych, który pozatem bierze udział w pracy społecznej, wygłasza odczyty i t.p. ma czas na wypoczynek, lekturę i pisanie — jest to już tajemnicą wspaniałej, imponującej woli tego człowieka, który pozostał wierny swym najwyższym ideałom moralnym, jakie — jeszcze jako bardzo młody człowiek — głosił w Polsce. Jest zdumiewającym przykładem najwyższej żywotności polskiej, jest przykładem umiejętności życia po bożemu i, mimo prawdziwie trudnych warunków swego życia — pełnej radości, bo i na radość jest miejsce — i to jak obficie! — u tego człowieka budzącego najwyższy szacunek. Jest równocześnie odpowiedzią tym wszystkim pisarzom, którzy „trudnymi warunkami" usprawiedliwiają własną bezczynność, gdy warunki nie usprawiedliwiają nikogo, ukazują tylko, jakim się jest naprawdę.

O samej powieści nie możemy narazie Czytelnikom nic napisać, nie znając jeszcze maszynopisu. Czytał ją krytyk literacki i pisarz Dr Wit Tarnawski, którego opinię Czytelnicy znaleźli we wspomnianej ulotce. Jest rzeczą naturalną, że pisarz pragnie wydać książkę, w którą włożył wiele serdecznego trudu, bo jej prawdziwe życie zaczyna się dopiero w rękach czytelników. I oto po pomoc do swych przyszłych czytelników zwraca się Jędrzej Giertych. Ulotkę jego załączają równocześnie prawie wszystkie pisma polskie wychodzące na emigracji, i to oprócz naszych obu tygodników paryska „Kultura", londyńskie „Wiadomości", „Placówka", „Polska Wierna", detroicka „Kronika Seraficka" itd.

Jesteśmy pewni, że Czytelnicy obu naszych pism, którzy umożliwili Veritasowi wydanie „Książki o Kołymie", — a obecnie spełnia już ona rolę w zasięgu światowym — nie poskąpią pomocy Jedrzejowi Giertychowi.

KRONIKA KULTURALNA

ŻYCIE NAUKOWE

Albert Einstein został wybrany ostatnio członkiem honorowym Cesarskiej Akademii Japońskiej.

TEATR

Nawet teatry kukiełkowe nie wykręciły się od totalistycznej kontroli komunistycznej w Polsce. Ministerstwo Kultury i Sztuki powołało do życia przedsiębiorstwo „Państwowe Teatry Lalek", które ma przeprowadzić koordynację kierownictwa i „podniesienie poziomu ideowego" i artystycznego wszystkich teatrów lalek w Kraju. Istnieje dziś w Polsce 7 państwowych teatrów lalek, przewiduje się jednak budowę paru nowych. Z subsydiów państwowych korzysta ponad sto amatorskich teatrów kukiełkowych.

MUZYKA

W ramach planu 6-letniego przewidziana jest budowa specjalnego gmachu dla opery w Krakowie. Rozwiąże to definitywnie problem opery krakowskiej, która w początkowym stadium swego rozwoju korzystać będzie z gmachu Teatru im. Słowackiego.

* * *

Pianista Zbign. Szymonowicz oraz dyrygent Witold Rowicki wyjechali z Polski na występy do Czechosłowacji. Skrzypaczka Wanda Wiłkomirska dała kilka koncertów w Budapeszcie. Pianista Stanisław Szpinalski wyjechał na turnée artystyczne do Holandii, dokąd udała się także Halina Czerny - Stefańska która grać będzie później w Belgii.

PLASTYKA

W Nowym Jorku odkryto nieznany dotąd portret Mony Lisy, który zdaniem eksperta T. R. Judsona wyszedł spod pędzla Leonarda da Vinci. Ta nowa Gioconda jest młodsza i piękniejsza od znajdującej się w Luwrze i miała kiedyś być własnością Marii Antoniny. W okresie Wielkiej Rewolucji obraz ten wywieziono podobno do Ameryki, gdzie znajduje się do dziś w posiadaniu tej samej rodziny emigrantów francuskich, której przedstawiciel przywiózł go z Francji.

*

Z incjatywy zmarłego w roku 1926 malarza francuskiego i znanego rysownika „Vie Parisienne", Vilette odbywają się corocznie w Środę popielcową Msze święte za tych artystów, którzy mają umrzeć w ciągu najbliższego roku. Tradycja ta tak się rozszerzyła, że w roku bieżącym „messe de Vilette" była odprawiona w czterdziestu miastach Francji, a także w Barcelonie, Brukseli i Londynie. W Paryżu Mszę św. taką odprawił arcybiskup Paryża ks. Feltin przy licznym udziale malarzy, literatów, ludzi teatru, filmu i radia. Obecni byli m.in. Gilson i Claudel.

VARIA

Nic jakoś nie słychać o szumnie zapowiadanym w swoim czasie filmie wytwórni **Warner Bross** o kardynale Mindszentym, natomiast temat ten podjęła niezależna grupa filmowców pod kierownictwem **Jacka Wrathera** oraz **Edwarda i Roberta Goldenów** (ojca i syna). Film o kardynale Józefie Mindszentym będzie nosił tytuł **„Winny zdrady stanu" („Guilty of Treason")**. Scenariusz napisał **Emment Lavery**, rolę kardynała grać będzie **Charles Bickford**, a rolę matki Kardynała Elżbieta Risdeu. Reżyseruje Felix Feist.

*

Jedna z ostatnich, opublikowana pośmiertnie książka G. Bernanosa — „Dialogi Karmelitanek" — ma formę scenariusza filmowego i była napisana na zamówienie. Nie wiadomo jeszcze, czy filmowe dialogi Bernanosa dadzą się użyć do dzieła filmowego. Krytyk francuski André Rousseaux wyraża co do tego wątpliwości, ale książkę samą określa jako wspaniałą. Pisaliśmy o niej obszerniej w jednym z poprzednich numerów.

*

Do Anglii powróciła ze Stanów Zjednoczonych znana artystka filmowa Elisabeth Bergner. Pochodzi ona z Austrii; w r. 1933 osiedliła się w W. Brytanii i uzyskała obywatelstwo brytyjskie. Odniosła zarówno duże sukcesy na scenie, jak w filmie. W czasie wojny udała się do Kanady, gdzie grała jedną z głównych ról w filmie „49th Parallel". produkowanym przez brytyjskie Ministerstwo Informacji. Do Anglii jednak nie wróciła i zaangażowana została do Hollywood.

Obecnie, po dziesięcioletnim pobycie w Stanach, pragnie ona znów pracować jako artystka filmowa w W. Brytanii. Napotkała jednak na niezbyt życzliwe przyjęcie ze strony niektórych czynników. „Sunday Dispatch" zamieszcza artykuł, w którym oświadcza, że powrotu p. Bergner nie można uważać za pożądany, skoro opuściła ona Anglię w czasie, kiedy kraj ten znajdował się w niebezpieczeństwie.

KRONIKA FILMOWA

Słynny pisarz katolicki, autor wielu powieści i scenariuszy filmowych, Graham Greene, bawi obecnie w małym mieście niemieckim Goslar na granicy stref brytyjskiej i sowieckiej, gdzie zbiera materiały do nowego filmu na temat uchodźców spod okupacji sowieckiej. Do hotelu, w którym zatrzymał się Greene i gdzie oczekuje na przybycie reżysera angielskiego Carola Reed'a, z którym kręcił „Trzeciego człowieka". przybywają całe pielgrzymki młodych autorów i grafomanów niemieckich ze skryptami co raz to nowych scenariuszy filmowych. Twierdzą oni, że tylko Niemiec rozumie niedolę uchodźcy politycznego i tylko Niemiec może napisać odpowiedni scenariusz. Greene oświadczył, że jego film pozbawiony będzie podszewki politycznej i tragedię uciekinierów ujmie z punktu widzenia czysto ludzkiego. Film będzie wielojęzyczny. Będą w nim grali zarówno artyści brytyjscy jak i niemieccy. Greene odwiedza obozy wysiedleńców, odbywa rozmowy z przedstawicielami władz, planuje nawet wycieczkę do Berlina poprzez strefę sowiecką. Akcja filmu będzie się rozgrywać w górach Harzu.

*

Jeden z reżyserów, którzy będą kręcić w Rzymie monumentalny film „Quo Vadis", mianowicie obsadzający role p. Melvin Ballerino bawi obecnie w Londynie w celu wyszukania części artystów (około 50 do 60 osób). Prasa codzienna doniosła, że po licznych testach rolę Ligii postanowiono powierzyć Deborah Kerr, a rolę Winicjusza Robertowi Taylorowi. Role Nerona, Poppei, św. Piotra i św. Pawła są już prawie obsadzone. P. Ballerino będzie miał duży kłopot z wyszukaniem olbrzymiego Murzyna (wzrost 6 stóp i sześć cali), 14-letniego chłopca oraz tuzina siłaczy, którzy będą grali gwardię przyboczną Nerona. Zdjęcia w Rzymie [illegible] się w maju.

KONCERT WIELKANOCNY TOLI KORIAN

Człowiek śpiewa. Życie ludzkie bez śpiewu jest życiem niepełnym. Kompozytor może być jedynie twórcą danej pieśni, a śpiewak, mający głos i szkołę, jej odtwórcą, ale twórcą i odtwórcą pieśni w o g ó l e jest człowiek każdy, i ten, co ani nut nie zna, ani głosu nie ma i nigdy nie uczył się śpiewać. — Pieśń prawdziwa rodzi się w człowieku z jego potrzeby wewnętrznej, z jego wezbranej duszy, a nie z umiejętności, ani dla popisu. Dlatego to pieśń ludowa jest przeważnie anonimowa. Nikt nie wie najczęściej, kto i jak ją ułożył. A ta właśnie pieśń ludowa, towarzysząca człowiekowi w jego doli i niedoli, wtedy, kiedy się cieszy i smuci, kiedy pracuje i wczasuje, w tańcu, w zalotach, w marszu i w boju, ta pieśń, najbardziej, najpowszechniej „ludzka" jest matką wszelkiej wielkiej sztuki muzycznej. Nie byłoby Chopina, gdyby nie było polskiej pieśni ludowej. — Życie ludzkie bez pieśni twarde jest i niedobre. Ona pociesza, rozbraja zawziętość, a dodaje odwagi, ona wiąże stare czasy z nowymi, myśli nasze prowadzi w inne, szerokie światy. Ona to spełnia walkę, apostolską rolę, kiedy skupiona, rozmodlona, prowadzi nas bliżej Boga. Jakże moglibyśmy istnieć bez pieśni?

I jak my dzisiaj, tułacze, moglibyśmy przetrwać bez niej tę ciężką naszą zimę do nowej wiosny?—Możemy używać na koncertach takich i innych, polskich i niepolskich. Nie mogą się ludzie muzykalni na tej obczyźnie uskarżać na brak zaspokojenia ich potrzeb estetycznych. Ale chodzi o coś więcej niż o potrzeby estetyczne. O to, aby w nas, „wszystkich ludziach", wszystkich ludziach polskich, budzić i podtrzymywać to, z czego urodziła się ta pieśń „wszystkich ludzi" kiedy żyli, czy to trudząc się i radując na własnej ziemi, czy kiedy, zjednoczeni z Bogiem kolędowali Dzieciątku w rozjarzone święto Bożego Narodzenia, czy potem rozpamiętywali mękę Chrystusową, która nas w miłości odkupiła. — Nie wiem czy wszyscy zdajemy sobie sprawę z doniosłości takiej pieśni. — Na pierwszej wielkiej emigracji polskiej rodziła się muzyka Chopina. Ona to, bez słów nawet, dawała nam coś więcej niż sama sztuka. Rozumiał to każdy Polak. I kiedy dzisiaj rozdzwoniła się po całym świecie, daje ona nam, Polakom, coś więcej niż obcym, którzy jej słuchamy na tylu koncertach londyńskich.

Ale mamy tu jeszcze coś więcej. Bez powoływania jakiejkolwiek miary porównawczej, musimy oddać sprawiedliwość komuś, co od początku obecnej tułaczki będąc wśród nas, spełnia doniosłe posłannictwo społeczne, jakiego dziś może nie doceniamy. Musimy oddać sprawiedliwość należną Toli Korian. — Ileż to razy pieśnią ludową, w którą zawsze wkładała część życia wyrażającą się w stylu, w ekspresji, w ruchu, prowadziła nas w dawne czasy, łamiąc granice dnia dzisiejszego, ile razy prowadzi nas poprzez żelazną kurtynę do Polski, do chat, do dworów, na łan, do lasu, do domu!

A w te wielkie dni każdego roku, w dni Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia, kiedy w tym kraju, gdzie tak mało wiedzą o Bogu, czujemy się może bardziej sami, Tola Korian umacnia nas i wiąże, najpierw pomiędzy sobą, a potem, śpiewając we wszystkich językach ludzi naszej wiary, przypomina że za nami stoją i wszystkie ludy kościoła Chrystusowego i wszystkie czasy. Daje nam nieprzebrane bogactwo kolęd — i — jak w Wielką Środę w „Ognisku" — nieprzebrane, a nieznane nam prawie jeszcze bogactwo pieśni wielkopostnych. Był to koncert pieśni i recytacji, stanowiących razem „Historię o Męce i Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pana Jezusa, oraz o Świętych, którzy szli Jego śladem".

Twórczość ludowa, twórczość anonimowa średniowieczna, twórczość indywidualna pieśniarzy i poetów dawnych i dzisiejszych, wsi polskiej, czy prymitywów puszcz afrykańskich, spleciona harmonijnie w jej programach, dokoła wyraźnej nici przewodniej i polskiego ośrodka duchowego, na pierwszy plan wysuwa zawsze nie twórcę, ale dzieło, ale sprawę... I tak samo umie Tola Korian przy całym swoim niepospolitym kunszcie, przedziwnie usuwać się na drugi plan. Ponad nią jest problem, sprawa, temat. W ostatnim programie był to Temat przez wielkie „T": Bóg. — Prawdziwie wielki artysta jest ten, który umie usunąć się poza dzieło i wykonanie. Toteż Tola Korian wyraźnie nie lubi oklasków, a conajmniej, zdaje się ich zbytnio nie słyszeć, ale razem z zasłuchanymi słuchaczami, którzy dając nimi gorący wyraz wdzięczności wyłamują się spod nieprzepartego uroku, żyje pieśnią, którą śpiewa i razem ze słuchaczami prawdziwie i głęboko czuje, patrząc na wizję mistyczną, nie prędko wracając do rzeczywistej chwili.

Są prawdy, o których trudno pisać, aby ich nie zbanalizować. Wystarczy powiedzieć jedno: Kto tylko może, nie powinien omijać słuchania Toli Korian, która doniosłe zadanie spełnia na emigracji. Całego swego wysokiego kunsztu i talentu potrafi użyć na to, aby nam dać coś więcej, niż samą sztukę.

O. P.

W O K Ó Ł NAGRÓD LITERACKICH

LISTA NR. 5

Zebrano poprzednio: £	35.16. 9
D. B. — Londyn	1.—.—
J. M. Gottfried	—. 2.—
M. i S. Gryziewiczowie	—.10.—
S. Drążewski	—.10.—
W. Chochowski	—.10.—
I. Stefanowicz	—. 5.—
St. Wysocki	—.10.—
K. Łodziński	—. 2. 6
J. Żywina	—.10.—
J. Łatwis	—. 5.—
Z okazji otrzymania bezinteresownego daru — z Bolton	1.—.—
R a z e m:	£ 41. 1. 3
Pozostaje do zebrania wśród Czytelników:	£ 58.18. 9

KOMITET DLA SPRAW OŚWIATY POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII

zawiadamia, że nowy rok studiów w

SZKOLE HANDLU ZAGRANICZNEGO i ADMINISTRACJI PORTOWEJ

rozpocznie się w październiku b.r. Program studiów, jak w latach ubiegłych, obejmować będzie następujące przedmioty: Księgowość, Handel, Prawo Handlowe, Transport i Ubezpieczenie Morskie, Geografię Gospodarczą, Ekonomię i Język Angielski.

W ciągu studiów słuchacze będą przygotowywani do egzaminu dyplomowego Szkoły i do egzaminów na „Higher Group Diploma" z Księgowości i Transportu Morskiego w londyńskiej Izbie Handlowej.

Kandydaci do Szkoły muszą odpowiadać następującym warunkom:

a) Posiadać świadectwo Dojrzałości, względnie inne równorzędne.

b) Nieprzekroczony 35-ty rok życia. Podania starszych kandydatów mogą być wzięte pod uwagę tylko w wypadkach zasługujących na specjalne potraktowanie.

c) Muszą złożyć konkursowy egzamin wstępny z:

1. Angielskiego,
2. Wiadomości ogólnych i znajomości bieżących zagadnień gospodarczych (egzamin pisemny i interview). Egzaminy wstępne odbędą się w maju i czerwcu.

Podania o przyjęcie do Szkoły wraz z dokładnym własnoręcznie napisanym życiorysem należy przesyłać bezpośrednio do Szkoły (c/o Toynbee Hall, 28 Commercial Street, London E. 1) w terminie do 31 maja b.r. Podania złożone przed ukazaniem się niniejszego ogłoszenia muszą być uzupełnione życiorysem, o ile nie został on dołączony; ponadto wszyscy kandydaci, którzy podania już złożyli muszą zawiadomić Szkołę, że je nadal podtrzymują.

Kandydaci dopuszczeni do egzaminu wstępnego zostaną zawiadomieni o jego terminie. Koszty podróży, związane z przyjazdem na egzamin nie będą zwracane, z wyjątkiem specjalnych wypadków uprzednio aprobowanych przez Komitet.

Z A P I S K I

MANIFESTACJA KATYŃSKA W LONDYNIE

CAŁA Polonia londyńska bez względu na przekonania i przynależność partyjną zjednoczyła się w dniu 15 kwietnia, aby w sali Westminster Cathedral Hall przypomnieć Brytanii i światu zbrodnię katyńską i żądać ukarania jej sprawców.

Już na długo przed godziną 6 wieczorem, kiedy miało rozpocząć się zgromadzenie publiczne, duża sala koncertowa wypełniła się po brzegi polskimi emigrantami. W pierwszych rzędach zasiedli ministrowie polscy i przedstawiciele wszystkich stronnictw niepodległościowych, wśród których m.in. zauważyliśmy prezesa Arciszewskiego i prezesa Bieleckiego. Wejście prezydenta Augusta Zaleskiego powitali zgromadzeni powstaniem z miejsc.

Przed rozpoczęciem części politycznej Chór Polski pod dyrekcją H. Hosowicza wykonał utwór Mendelssohna „Beati mortui", po czym za stołem prezydialnym zasiadł gen. Władysław Anders wraz z pp. F. Haluchem, J. Kwapińskim i prof. T. Brzeskim — jako przedstawicielami Polskiego Stowarzyszenia b. Sowieckich Więźniów Politycznych, które z upoważnienia ogólnego zebrania wszystkich polskich organizacji społecznych i politycznych zorganizowało manifestację.

W krótkim przemówieniu wstępnym gen. W. Anders przypomniał historię wykrycia zbrodni katyńskiej i wysiłki polskie w celu zgromadzenia materiału dowodowego dla oskarżenia rządu moskiewskiego — na razie przed organizowanym przez amb. Bliss-Lane trybunałem wolnych sędziów amerykańskich, a w przyszłości, daj Boże, przed trybunałem ONZ.

Następnie okolicznościowe przemówienia wygłosili pp. Zbigniew Stypułkowski i F. Haluch. W przemówieniu adw. Stypułkowskiego, poświęconym głównie wspomnieniom osobistym i rysującym się na ich tle nastrojom ludności w Kraju w czasie, gdy Niemcy cynicznie wygrywali dla swych celów wykrycie zbrodni katyńskiej, zwracała uwagę ciepła wzmianka o śp. Anatolu Krakowieckim, którego mówca postawił za wzór bojownika o sprawiedliwość i wolność człowieka — poniewieranego systematycznie przez czerwonych władców Kremla.

Z kolei ponownie zabrał głos gen. Anders, który odczytał następującą, przyjętą przez aklamację rezolucję:

„My, Polacy, zebrani w Londynie w dniu 15 kwietnia 1950 r. w dziesiątą rocznicę zbrodni katyńskiej:

1) składamy hołd pamięci ofiar, bliskich sercu naszemu rodaków, kilkunastu tysiącom jeńców Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska;

2) wyrażamy głęboką wiarę, że śmierć ich nie pójdzie na marne lecz przyczyni się do uświadomienia Zachodu o grozie bolszewizmu i przyśpieszy ratunek narodów ujarzmionych;

3) stwierdzamy, że sprawcy zbrodni nie zostali dotąd postawieni przed Sąd ani ukarani, choć minęło 10 lat od dokonania katyńskiego mordu a 5 lat od ukończenia wojny i powołania pierwszego trybunału dla sądzenia zbrodni wojennych w Norymberdze;

4) w imię ogólnie uznanych w świecie cywilizowanym zasad sprawiedliwości żądamy powołania międzynarodowego sądu dla rozpatrzenia sprawy zbrodni katyńskiej i ukarania jej sprawców;

5) stwierdzamy, że przedstawiciele ZSSR nie mogą w tym nowym Trybunale Narodów zasiadać — jak było w Norymberdze — wśród sędziów, a natomiast ich miejsce jest na ławie oskarżonych".

Po uchwaleniu powyższej rezolucji Chór Polski odśpiewał pieśń Nowowiejskiego „Do Ojczyzny", Lachmana „Sztandary polskie na Kremlu" i „Z dymem pożarów" w opracowaniu H. Hosowicza. P. Z. Karpiński recytował ostatni wiersz ze zbioru bezimiennych poetów lwowskich, których utwory drukowane były w roku 1943 w prasie podziemnej, a w r. 1946 ukazały się w Londynie pt. „Wiersze płomienne".

Manifestacja katyńska wypadła poważnie i imponująco. Publiczność szeroko komentowała dawno nie notowaną obecność na jednym zgromadzeniu przedstawicieli wszystkich kierunków politycznych.

W niedzielę 16.4 odbyły się nabożeństwa (katolickie, prawosławne i ewangelickie) na intencję Polaków zamordowanych w Katyniu.

sp.

Z A P I S K I LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

FESTIVAL SZEKSPIROWSKI W STRATFORDZIE

Doroczny festival Szekspirowski w Stratford-upon-Avon jest w pełnym toku. Udział bierze szereg znakomitych odtwórców, m.in. John Giełgud, Peggy Ashcroft, Given Frangson - Davies (znana w roli lady Macbeth). Leon Quartermaine, Anthony Quayle, Harry Andrews, Andrew Cruickshank. Przedstawienia odbywają się codziennie wieczorem; początek o g. 7.30. Nadto do dnia 3 maja dawane są co sobotę przedstawienia popołudniowe, zaczynające się o g. 2.30. Po tej dacie przedstawienia popołudniowe będą się odbywały w środy i soboty; początek również o g. 2.30. Ceny miejsc wahają się w granicach 2.6 do 10.6 sh. Bilety nabywać można u głównych agentów teatralnych, którzy udzielają też informacji, dotyczących komunikacji do Stratford itp.

Właściwym twórcą festivaalów Szekspirowskich w Stratfordzie był słynny aktor Garrick, który zbudował tam w roku 1769 tymczasowy budynek teatralny, wzorowany na t. zw. Ranelagh Rotunda. Garrick urządzał przy tej sposobności zabawy taneczne, ognie sztuczne i recytował własne wiersze.

Pierwszy ten budynek został zniszczony przez powódź. W r. 1864, dla uczczenia 300-lecia urodzin Szekspira, wzniesiono nowy tymczasowy teatr, w którym corocznie odbywały się przez dwa tygodnie przedstawienia sztuk Szekspira. Miejsce po tym teatrze, który również już nie istnieje, do tej pory jest niezabudowane; istnieje projekt, by wznieść tam replikę jednego z najdawniejszych teatrów londyńskich: Globe Theatre dla pomieszczenia widzów, którzy w okresach większego natłoku nie mogą dostać biletów do obecnego Shakespeare Memorial Theatre.

Ów Memorial Theatre — trzeci już z rzędu budynek, tym razem pozbawiony cech tymczasowości, — oddany został do użytku publicznego w kwietniu r. 1932. W nim właśnie odbywają się teraz, co wiosnę, doroczne festivale szekspirowskie, trwające po parę miesięcy. Kilka dni temu Król i Królowa po raz pierwszy odwiedzili teatr stratfordzki.

CIĘŻKIE POŁOŻENIE ZBIERACZY DZIEŁ SZTUKI

W londyńskiej Tate Gallery odbywa się obecnie pod nazwą „The Private Collector" interesująca wystawa obrazów ze zbiorów prywatnych.

Wystawa ta natchnęła krytyka artystycznego „Sunday Times", Erica Newtona, do melancholijnych uwag na temat stopniowego upadku prywatnego kolekcjonerstwa dzieł sztuki. Zbieracze prywatni istnieją jeszcze w W. Brytanii, ale są w coraz trudniejszym położeniu z powodu ogromnego podatku dochodowego i ciężarów spadkowych, które zmuszają ich często do wysprzedawania się.

Państwo — stwierdza Newton — objęło rolę protektora i propagatora sztuki; powiększa też ono ciągle publiczne zbiory i galerie. Jednak dzieła sztuki, oderwane od swego tła, tracą wiele na swej wartości. Ołtarz, mszał iluminowany, witraż kościelny mają swe znaczenie w katedrze, tracą je natomiast w muzeum; portrety rodzinne stanowią tło dla rodziny; obraz sztalugowy należy do salonu w tej samej mierze, co znaczek pocztowy do zaadresowanej koperty. Oddzielcie te przedmioty od ich naturalnych związków, a poczną nabierać nowego, nieco fałszywego charakteru w zakresie swej wartości. Staną się one „sztuką dla sztuki".

I tu — zdaniem autora artykułu — powstaje sytuacja paradoksalna. Hasło „sztuka dla sztuki" jest sloganem dyletantów, niemodnym, bo niedemokratycznym. Tymczasem wprowadzane jest ono obecnie w życie właśnie przez państwo nowoczesne, oparte o ideały demokratyczne.

W rezultacie — konkluduje autor — grozi załamanie się ostatnich związków między artystą a życiem prywatnym. Artysta, zawsze wrażliwy na prawa podaży i popytu, pocznie malować „obrazy galeryjne". Publiczność zaś nauczy się traktować sztuki piękne jako zjawiska, które nie istnieją poza muzeum. Sztuka kameralna, podobnie jak muzyka kameralna, znajduje się w niebezpieczeństwie zniknięcia z domu, w którym się narodziła.

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA FILATELISTYCZNA

Dnia 6 maja w Grosvenor House przy Park Lane w Londynie otwarta będzie pod patronatem Króla Międzynarodowa Wystawa Filatelistyczna. W dniu tym przypada 110-ta rocznica puszczenia w obieg pierwszego znaczka pocztowego w świecie, brytyjskiego „penny black" z wizerunkiem królowej Wiktorii. Wynalazcą znaczka pocztowego był — jak wiadomo — Rowland Hill, któremu wzniesiono potem w Londynie pomnik. Wprowadzenie w obieg znaczków pocztowych zbiegło się z zaproponowanym przez Hilla ujednoliceniem taryfy pocztowej, do tej bowiem pory opłaty te zależne były od odległości miejsca, do którego list był adresowany.

Po czarnym znaczku jednopensowym wprowadzone zostały dwupensowe. Zarówno „penny black" jak „twopence blue" należą dziś do nadzwyczajnych rzadkości i osiągają bardzo wysokie ceny. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat filatelistyka stała się w W. Brytanii jednym z najpopularniejszych „hobbies" i objęła wszystkie kraje świata.

Na wystawie w Grosvenor House znajdzie się m. in. bogaty zbiór znaczków, należący do Króla. Obejmuje on m. in. niezwykle cenną kolekcję wczesnych znaczków brytyjskich, stworzoną przez króla Jerzego V. Wartość znaczków, które znajdą się na wystawie, oceniana jest na przeszło 2.500.000 £. Wystawcy pochodzą z trzydziestu różnych krajów.

NOWA KSIĄŻKA EINSTEINA

W n-rze 12 ŻYCIA z r. bież. donosiliśmy o pojawieniu się w Stanach Zjednoczonych nowej pracy Alberta Einsteina, stanowiącej uzupełnienie jego teorii poprzednich. Rzecz ta ukazała się obecnie w wydaniu angielskim pt. „The Meaning of Relativity" (Methuen, cena 7 s. 6 d.). Einstein stara się w niej sprowadzić do wspólnych kategorii matematycznych i fizycznych zjawiska grawitacji i zjawiska elektromagnetyczne, które do tej pory traktowane były odrębnie.

MIĘDZYNARODOWE BIURO POSZUKIWAŃ IRO AROLSEN/KASSEL, poszukuje:

BROSZKIEWICZ Adam, ur. 1913 w Bochni; był w obozie konc. Weimar-Buchenwald, nr. 33 942;

CYGLER Edward Alfred, ur. 3.1. 1928 w Knywie, gm. Rataje pow. Gostynin; wywieziony w 1943 r. na roboty do Niemiec;

CZARNECKI albo CZARNIECKI Mieczysław, ur. 1922 w Mikulincach, woj. tarnopolskie; wywieziony w 1943 r. z Łuszczyna do Elbing koło Gdańska;

HARASOWSKA Helena, lat 22, ur. w Siebieczowie; przebywała podczas wojny w Niemczech;

HARASOWSKI Bogumilovic Wladimir, ur. 1884 w Krowicy koło Lubaczowa; mieszkał w Sarajewie, Jugosławia; był w jugosławiańskiej Armii; ostatnia wiadomość z 1940 r.;

NIEWIAROWSKA Olga, ur. 1890 w Kijowie; mieszkała w Warszawie; wywieziona prawdopodobnie podczas powstania warszawskiego do Niemiec;

NOWICKA Anna, ur. 24.7.1901; ostatnia wiadomość z 1944 r.; była przypuszczalnie w jednym z obozów konc. w Niemczech;

PŁONKA Ryszard, ur. 24.2.1914; był w niem. Armii; ostatnia wiadomość z lipca 1944 r.;

PUPKIEWICZ Leonard, ur. 29.9.1922 w m. Komojac, woj. wileńskie; wywieziony przez Niemców w marcu 1940 r. nad finlandzką granicę;

SAWICKI Czesław, ur. 20.1.1901 w Wilnie; był w 1939 r. w polskiej Armii;

STOPINSKI Henryk, ur. 22.1.1922 w Proszowicach; wywieziony podczas powstania warszawskiego do Niemiec;

URBAŃCZYK Engelbert, ur. 10.1. 1909 w Zaborzu, Śląsk; był w niem. Armii; ostatnia wiadomość z grudnia 1944 r.;

WOLSZCZAK Tadeusz, ur. 1.8.1925 w Dywinie; wywieziony w 1940 roku do Rosji; ostatnia wiadomość z 1942 r. z Omska, Rosja;

ZALEWSKI Ludwik, ur. 10.4.1916 w Romanówce, pow. Sarny; był w polskiej Armii; ostatnia wiadomość z Gdyni;

ZEZUK Pelagia, ur. w maju 1915 r. w Starym Siole, gm. Berezów, pow. Stolin; zaginęła w 1941 r. bez wiadomości.

KOCHANOWSKI Mikołaj, ur. 3.12 1886 w Kozincach, pow. Brasław; był prawdop. w Armii Gen. Andersa;

KOWALSKI Alojzy, ur. 21.6.1915; był w lipcu 1942 r. w niem. Armii; ostatnia wiadomość ze szpitala Santa Urbana Presso Matschetto, Włochy; stąd prawdop. transportowany jako jeniec na Maltę;

KRAJEWSKI Edmund Wiktor, ur. 16.11.1908 w Warszawie; przebywał prawdop. w maju 1947 r. w Egipcie;

MICHNIK Alojzy, lat 50 — 55, ur. w Bielowicku, pow. Skoczów; był w polskiej policji, ostatnio w Rybniku na Śląsku; udał się rzekomo przez Gdańsk do Anglii;

MISTECKI Aleksander, ur. 29.5.1918 w Lingen, Niemcy; był w obozie konc. Wiemar-Buchenwald, nr. 81.983; ostatnia wiadomość z sierpnia 1944 r.;

PUTAŁA Edward Józef, ur. 7.2.1892 w Unerce; był w pułku „Stefan Batory" w Grodnie; ostatnia wiadomość z 1940 r. z obozu w Kalwarii, Litwa;

SIEMASZKO Antoni, ur. 1919 w osadzie Rzepiszcze, gm. Zdzięcioł, pow. Nowogródek; zaginął w 1942 r. bez wieści.

PODGÓRSKI Feliks; ur. 1907 w Warszawie; ostatnio widziany w powstanie warszawskie; wszelkie wiadomość: proszę kierować: W. Podgórki 12, Praed Mews London W. 2.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed", wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.